AS



Nr. 39
25 WRZEŚNIA 193
CENA 40 GROSZY

W ŚWIĄTYN
SZIWY

TANCERZ HINDUSK
RAM GOPA

NOWY KONKURS MAGAZYNU „AS"



JAK SPĘDZAM WAKACJE?

5 cennych nagród!



„W kraju tysiąca jezior" — Fot. Edmund Alwin, Szubin, aparatem uzyskanym w Konkursie „Asa" na najpiękniejszy uśmiech.



„Mielizna na Wiśle" — Fot. Jan Józwiak. Katowice.

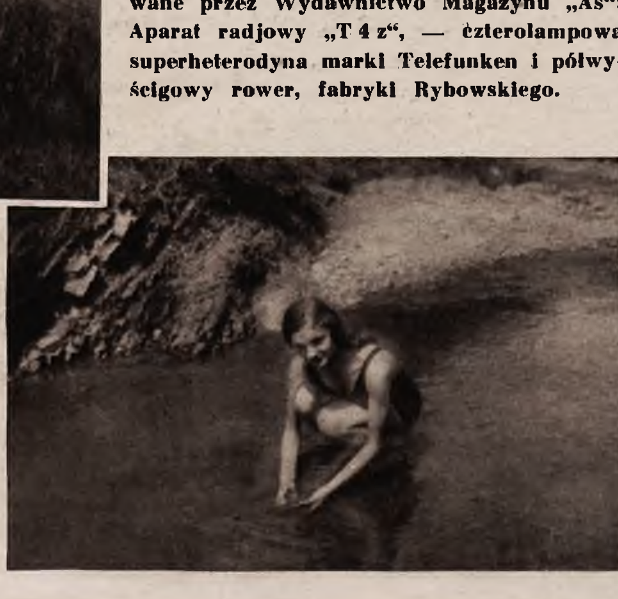
Wszystkim, którzy pragną wziąć udział w naszym „Konkursie wakacyjnym", przypominamy, że nadsyłane zdjęcia muszą się swą treścią łączyć z pewnemi przeżyciami podczas wakacyj. Tylko takie mogą liczyć na zamieszczenie w rubryce konkursowej. Inne — np. piękne pejzaże, które reprezentują odpowiedni poziom artystyczny, ukażą się w „Asie" poza konkursem. Warunkiem uczestniczenia w rozdziale nagród, których spis podajemy w dalszym ciągu komunikatu, jest wykazanie się przynajmniej kwartalną prenumeratą Magazynu „As", zapoczątkowaną nie wcześniej, jak w dniu 25 czerwca b. r.

Pięć najoryginalniejszych zdjęć otrzyma cenne nagrody, któremi są: Aparat Ciné Kodak 8 model 20 i aparat Kodak Regent f. 4.5, ofiarowane przez Firmę „Kodak" Warszawa I, Plac Napoleona 5 — dalej wytworny neseser podróżny, ofiarowany przez Firmę Anastazy Froncz, Kraków, ul. Florjańska 17 — oraz dwie nagrody ofiarowane przez Wydawnictwo Magazynu „As": Aparat radjowy „T 4 z", — czterolampowa superheterodyna marki Telefunken i półwyścigowy rower, fabryki Rybowskiego.



„Pociechy na wakacjach" — Fot. Olga Śmiechowska. Kraków





Na lewo: **„Słońce pali w Orłowie"** — Fot. Wanda Niemczycka. Lwów.

Na prawo: **„Poszukiwaczka złota"** — Fot. Stanisław Gruszecki. Lwów.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 39 **Niedziela, 25 września 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 39-GO:



Presse Photo.

W pogoni za gorącymi promieniami słońca, które pierzchają przed zimnym oddechem nadciągającej jesieni, ludzie chętnie wybierają się na dalekie wycieczki za miasto, zażywając rozkoszy obcowania z pięknem przyrody.

WARSZAWA BĘDZIE NOWOCZESNĄ STOLICĄ

Urbanistyczny problem przebudowy i upiększenia Warszawy, którym od kilku lat zajmuje się opinja publiczna, nie jest czemś nowem. Zagadnienie to nie zjawiło się z chwilą, gdy Warszawa stała się stolicą niepodległego Państwa. O przebudowie — dosłownie — a nie o budowie Warszawy mówiono obszernie już... sto lat temu, i dwieście i trzysta.

Trudno dziś doszukiwać się istotnych powodów tego stanu rzeczy. Najłatwiejszą, a kto wie czy i nie jedyną odpowiedzią, będzie zwalenie całej winy na — los, na ów przysłowiowy pech, który Warszawę prześladuje od wieków.

Gdziekolwiek sięgnąć do literatury na temat zagadnień urbanistycznych Warszawy — czy to będą kroniki z osiemnastego stulecia, czy... wycinki z gazet z przed kilku miesięcy, wszędzie znajdujemy te same żale, wytykanie tych samych bolączek. A więc — chaotyczna zabudowa, przepych łączący się z nędzą, brak zieleni, brak konkretnych i uznanych planów rozbudowy miasta.

W r. 1800, pewien zagraniczny podróżnik — nazwiskiem Holsch — scharakteryzował Warszawę takiemi słowy:

„Warszawa, to jedyne wielkie w Europie miasto, które nie posiadając ani wałów, ani murów, ani rogatek, jest na wszystkie strony otwarte. Obok okazałych pałaców, nędzne chaty, dziwne wrażenie na obcym czyniły...".

Czyż tego zdania, napisanego 138 lat temu, nie możnaby zilustrować współczesną fotografją, np. z okolic Dworca Głównego, z okolic Sądu Najwyższego, z Marszałkowskiej, Nowego Światu, gdzie po dziś dzień, obok monumentalnych gmachów i pałaców stoją nędzne rudery parterowe, zohydzające i poniżające miasto?



PLAN PROJEKTOWANYCH WIELKICH ARTERYJ WARSZAWY: A. a. = gospodarcze. — B. b. śródmiejskie. — C. c. = reprezentacyjne. 1) Początek autostrady do Wilna, 2) do Gdyni, 3) do Poznania, 4) do Krakowa. 5) Tunel pod Ogrodem Saskim. 6) Dworzec główny.

Holsch nie był jedynym podróżnikiem, przybyłym do Polski z zagranicy, który podkreślał te ujemne strony Warszawy. — Tego samego zdania jest Jan le Laboureur, dworzanin Ludwika XIV, który towarzyszył Marji Ludwice, żonie Władysława IV, w jej podróży z Paryża do Warszawy. Pisze on w swoim pamiętniku w r. 1646 (!!), iż miasto o wiele bardziej, niż inne europejskie, jest bezładnie rozrzucone i chaotycznie zbudowane. — Identycznie te same uwagi odnaleźć można u znanych podróżników XVIII stulecia, Anglika Wiliama Cokse (1783) i Niemca Sirissa. Ten ostatni pisze dosłownie:

„...można tutaj widzieć obok pysznego pałacu tulącą się do niego nędzną drewnianą chatkę i mizerną lepiankę..."

W ślad za stwierdzeniem, iż dzieje się źle, szły i głosy, zmierzające do poprawy sytuacji. W starej literaturze, głównie u Sobieszczańskiego i Gołębiowskiego, popularnych historyków Warszawy z ubiegłego stulecia, znaleźć można cytaty, odnoszące się do lat 1600, gdy po raz pierwszy zjawia się problem podniesienia wyglądu miasta. Już w roku 1659 na Sejmie Rzeczypospolitej „o zaradzeniu i podniesieniu stolicy przemyśliwano". — Wydana w tymże roku ustawa każe „ozdobić i ubezpieczyć" miasto „podług ingynieura naszego delineacji", a także „ulice wyprostowywać i nowe powymierzać".

Wiele pracy w przebudowę miasta włożył J. O. X. Józef Zajączek, namiestnik królewski, który w r. 1816 ustanowił fundusz w wysokości 300.000 złotych rocznie na pożyczki długoterminowe dla właścicieli nowych budowli. Olbrzymie, niedoceniane, niestety już zasługi dla rozbudowy i upiększenia miasta położył król Stanisław August, twórca najpiękniejszej dziś jeszcze dzielni-



Rozbiórka domów przy ul. Bonifraterskiej dla przebicia arterji reprezentacyjnej.



NOWOCZESNE BUDYNKI WARSZAWY: Luksusowy dom mieszkalny przy budującej się Alei na Skarpie.

cy miasta, Alei Ujazdowskich i Parku Łazienkowskiego.

Nie rozwodźmy się jednak zbyt długo nad historją. Najnowsze czasy postawiły Warszawę w obliczu nowych zagadnień — zagadnień współczesnych, a jeszcze bardziej problemów przyszłości. Współcześni urbaniści nie mogą widzieć tylko braków i myśleć nad ich usunięciem. Muszą iść myślą daleko w przyszłość, liczyć się z dalszym rozwojem miasta, nakreślić temu rozwojowi taki plan, by miasto pójść nim mogło spokojnie, bez obawy o nowe powikłania i trudności.

O ile do niedawna jeszcze ideałem architektów-urbanistów było tworzenie wielkich miast, metropolij, obliczonych na pięć, dziesięć miljonów mieszkańców, o tyle najnowsze prądy w tej dziedzinie zaniechały pomysłów tworzenia takich monstr-skupowisk ludzkich. Złożyły się na to dwie przeszkody, absolutnie nie do przezwyciężenia w tak wielkiem mieście — problem trudności komunikacji i higjena miasta.

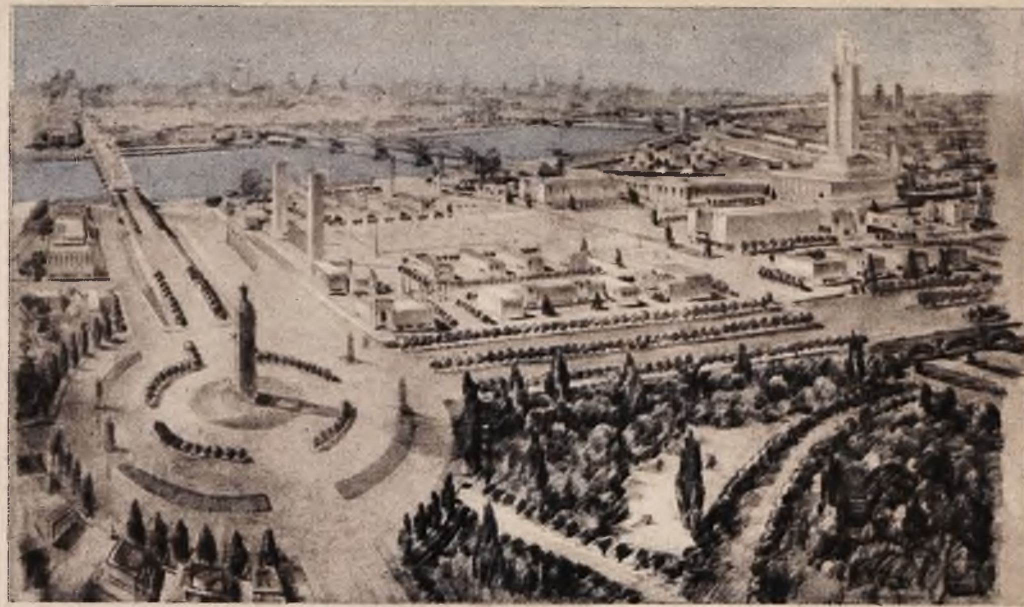
Niestety nie posiadaliśmy w pierwszych latach powojennych dostatecznej liczby właściwie wykwalifikowanych urbanistów, a ci, którzy byli, nie zdobyli sobie jeszcze pozycji i autorytetu. Dlatego też w pierwszych piętnastu latach bytu niepodległego, to jest od chwili, gdy Warszawa niekrępowana przez obce rządy mogła pomyśleć śmiało o swej rozbudowie, popełniono mnóstwo błędów, które zamiast rozwikłać problem nowej Warszawy, jeszcze bardziej go skomplikowały. Do takich niewybaczalnych błędów zalicza się przeważnie dzielnicę Warszawy — Żoliborz, który mógł się stać nowem, pięknem miastem, a został przypadkowym zlepkiem will i... kilometrowych koszar, bo tak tylko nazwać można owe monotonne, niekończące się i szablonowe domy mieszkalne Żoliborza. Za niefortunny pomysł uważany jest również plan budowy linji średnicowej i Głównego Dworca kolejowego w centrum miasta, w samem sercu jego śródmieścia. Linja ta, już raz na zawsze przedzieliła miasto osią: Dworzec Wschodni—Dworzec Zachodni i do niej teraz, nie do czego innego, nawiązywać trzeba będzie większość planów, jakie powstają i powstać jeszcze mogą.

Wreszcie po kilkunastu latach poszukiwań najwłaściwszej drogi, studjów i nauki na własnych błędach, doprowadzono do definitywnego utrwalenia ogólnej linji, po której pójdą w przyszłości wszystkie zagadnienia urbanistyczne Warszawy.

Według tych planów nasza stolica nigdy nie stanie się miastem-olbrzymem. O ile zajdzie potrzeba dalszego rozwoju, dążyć się będzie wytrwale do stworzenia wokół Warszawy t. zw. „regjonów", czyli osiedli podmiejskich, ich rozbudowy i powiększania, tak, by mogły zaspokoić wszelkie potrzeby gospodarcze i kulturalne swych mieszkańców, udających się do centrum miasta tylko do pracy, lub dla załatwienia interesów.

Warszawa, ze względu na swe centralne położenie w kraju, musi być nietylko stolicą państwa, ale z konieczności musi też być najważniejszym węzłem komunikacyjnym. Z faktem tym wiąże się siłą rzeczy konieczność ulokowania w Warszawie przemysłu, niezbędnego dla wielkiego, największego w kraju węzła komunikacyjnego. Oto jest jedno z najtrudniejszych zagadnień urbanistycznych do rozwiązania. Mało jest przykładów na świecie, by miasto przemysłowe mogło być równocześnie ładnem, przestronnem i w miarę estetycznem.

Druga wielka trudność — to położenie miasta na idealnej niemal równinie, co wy-

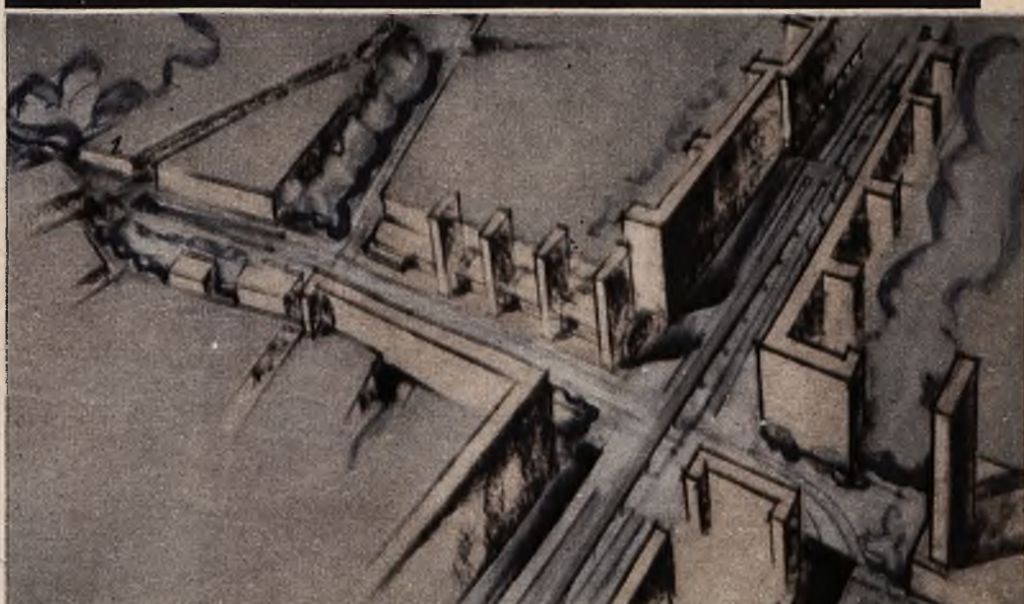


Plan zabudowy terenów na Saskiej Kępie pod projektowaną Wystawę, która ma się odbyć w roku 1942.



NOWE BULWARY NAD WISŁĄ: Fragment projektowanej „Wisło-strady" z Bielan do Wilanowa.

Poniżej: Skrzyżowanie arterji „Śródmiejskiej" B. (Aleja Niepodległości) z „gospodarczą" a. (ul. Chłodna). 1) Wjazd do tunelu pod Ogrodem Saskim.



klucza możliwości perspektywiczne, tembardziej, iż przez setki ubiegłych lat miasto stale pomijało brzegi Wisły, jako motyw dekoracyjny. Dziś ponad Wisłą rozsiadły się jedne z najuboższych dzielnic, dymią kominy fabryczne i przebiegają portowe bocznice kolejowe. — Odwrócenie Warszawy „frontem ku Wiśle“ jest więc następnem naczelnem zadaniem, którego realizację podjęto w ostatnich latach. — Niestety ta część programu rozbudowy miasta poczeka długie jeszcze lata na swe zakończenie. Narazie podjęto pracę przy budowie t. zw. Alei na Skarpie, która przebiegać będzie wzdłuż wzgórza, położonego na lewym brzegu Wisły, przez całą długość miasta, łącząc w przyszłości Bielany z Wilanowem piękną autostradą. Otwierać się będą stąd piękne widoki i perspektywy na Pragę i Stare Miasto.

Nową, wielką Warszawę, rozplanowano w zasadzie na szkielecie sześciu wielkich arteryj przelotowych. Trzy z nich przetną miasto w kierunku z południa na północ, trzy z zachodu na wschód.

Arterje te biegnąć będą częściowo ulicami już istniejącemi, które bądź to przedłuży się lub rozszerzy, częściowo będą zbudowane od nowa.

Pomysł stworzenia trzech głównych arteryj w każdym z wymienionych kierunków geograficznych jest uzasadniony tem, iż jedna arterja będzie główną, śródmiejską, druga spełni zadanie gospodarcze (główny ruch handlowy i przelotowy przez miasto), trzecia służyć będzie celom reprezentacyjnym.

Zamieszczona na str. 4-tej mapka owych sześciu głównych arteryj przyszłej Warszawy daje najlepsze pojęcie o tem zagadnieniu.

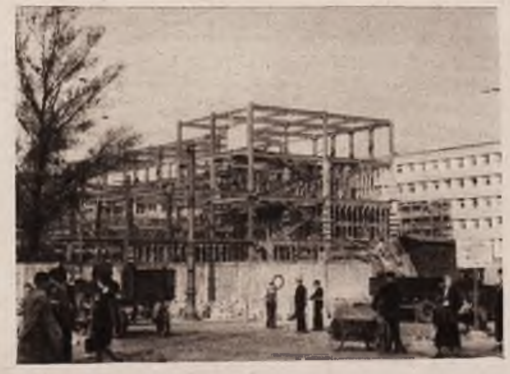
Arterje północ—południe przebiegać będą:

A) gospodarcza — dzisiejszą ulicą Towarową i jej przyszłemi przedłużeniami (obsłuży centralny dworzec towarowy),

B) śródmiejska — nową całkowicie Aleją Niepodległości, która na terenach dawnego Pola Mokotowskiego jest już budowana, zaś w dalszym swym biegu na północ przejdzie przez tereny obecnie zabudowane — tu będzie trzeba burzyć olbrzymią ilość istniejących kamienic.



Fragment budującej się w szybkiem tempie Alei na Skarpie.



Szkielet wznoszonego obecnie gmachu poczty przy Alei Jerozolimskiej.



Budowa nowego dworca głównego.



Na lewo: Wstępne roboty przy przebiciu bramy przez gmach sądu okręgowego dla połączenia pl. Krasińskich z Żoliborzem.

Na północy arterja ta osiągnie autostradę do Gdyni.

C) „reprezentacyjna“ — dzisiejszą Aleją Ujazdowską, z przedłużeniem na Żoliborz przez nową ulicę, obecnie już przebijaną poprzez zabudowania ulicy Bonifraterskiej.

Te same charakterem arterje w kierunku prostopadłym do opisanych przebiegną:

a) gospodarcza — dzisiejszą ulicą Wolską, Chłodną, tunelem pod Ogrodem Saskim i nowym mostem na Wiśle przy ulicy Karowej (zburzone zostaną domy pomiędzy Placem Marsz. Piłsudskiego a ulicą Karową),

b) śródmiejska — dzisiejszą Aleją Jerozolimską, która będzie przedłużoną w kierunku zachodnim do autostrady na Łódź, zaś na wschód już ma nowe doskonałe połączenie z Grochowem i dalej do planowanej autostrady na Wilno i wreszcie

c) reprezentacyjna — Aleja Marszałka Piłsudskiego, która stanie się chlubą Warszawy i jedną z najpiękniejszych ulic Europy. Przebiegnie ona od dzisiejszego placu na Rozdrożu (plac ten otrzyma następnie nazwę placu Wolności), na Pragę i tereny Wystawowe, poprzez drugi nowy most na Wiśle, w przeciwległą zaś stronę poprzez nową dzielnicę na dawnych Polach Mokotowskich przed świątynię Opatrzności.

Skrzyżowanie się wzajemne dwóch arteryj gospodarczych wytknie przyszłej Warszawie jej nowe centrum gospodarcze i przemysłowe. Wypadnie ono mniejwięcej w pobliżu dzisiejszego skrzyżowania Chłodnej i Żelaznej.

Podobnie też skrzyżowanie dwóch arteryj „śródmiejskich“, oznaczonych na planie literami „b“, stanowić będzie City miasta. Wypada ono tuż przy nowym gmachu Dworca Głównego — tu też powstanie biurowe i handlowe serce miasta.

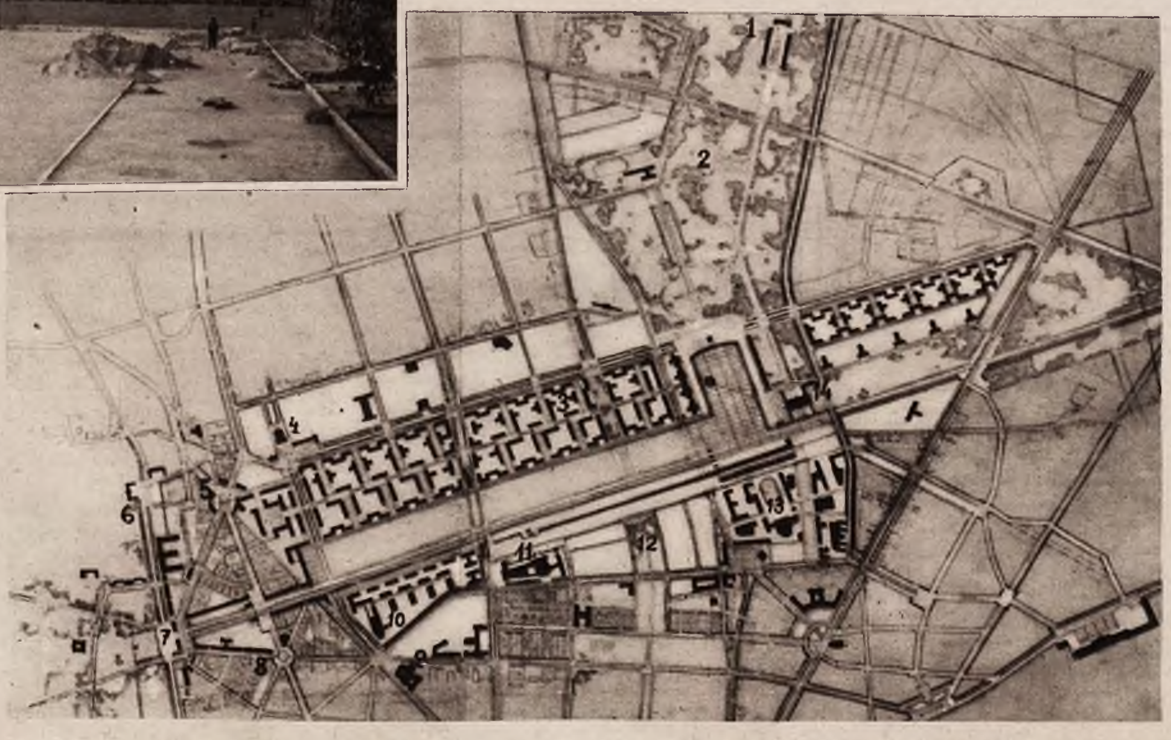
Trzecim z tych zasadniczych punktów będzie Plac Wolności — skrzyżowanie się dwóch arteryj reprezentacyjnych — dzisiejszych Aleji Ujazdowskich i przyszłej, zaczętej już Alei Marszałka Piłsudskiego.

W rezultacie północna część miasta stanie się miastem przemysłowem, południowa stolicą państwa w pełnem tego słowa znaczeniu.

O ile ową północną część należy tylko uporządkować, o tyle południe czeka dopie-

Dokończenie na str. 31-ej.

Wszystkie zdjęcia: „Magazyn „As“.



Na prawo: PLAN PROJEKTOWANEJ DZIELNICY MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO: 1) Nowe obserwatorjum astronomiczne. 2) Projektowany park. 3) Tereny pod przyszłe prywatne domy reprezentacyjne. 4) Bibljoteka Narodowa. 5) Plac Unji Lubelskiej. 6) Belweder. 7) Plac Wolności (na Rozdrożu). 8) Plac Zbawiciela. 9) Politechnika. 10) Tereny pod nowe gmachy politechniki. 11) Nowy Sejm. 12) Dzielnica ambasad i pałaców. 13) Tereny pod nowe gmachy uniwersyteckie. 14) Świątynia Opatrzności.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Od lewej: Znaczki duńskie i niemiecki, wydany z okazji zjazdu partyjnego w Norymberdze.

Dobór albumu i dobór katalogu, to dwa zasadnicze problemy.

Przed wojną były w modzie katalogi Senfa i dostosowane do nich albumy Schabecka, od 1919 roku zaczął z niemi konkurować Michel i Schwanenberger, obecnie zaś, jeśli chodzi o Polskę, to duże wzięcie ma „Ka. Be..“ i oczywiście albumy specjalne dla Polski krajowych firm, jak i katalog Witkowskiego.

Zapowiedź wprowadzenia cen netto w starych katalogach spełzła na niczem i znów tylko Froede notuje znaczki tak, jak w istocie trzeba za nie płacić. Teraz zwłaszcza, kiedy marka niemiecka jest praktycznie równa złotemu, jest to niezwykłem uproszczeniem.

Bardzo oryginalny i wygodny układ zastosował Froede w nowem wydaniu, połączono bowiem wszystkie kolonje, plebiscyty itp. z metropoljami, tak, że wyszukanie znaczka jest bardzo ułatwione. Cenom poświęcimy obszerniejszy „Kącik“. **W. H.**

Odpowiedzi działu filatelistycznego.

P. T. „FILATELISTA“ — RYPIN. Szczegółowych informacyj udzieli WPanu każdy urząd pocztowy.



Pamiątkowy znaczek polski, wydany w bieżącym roku z okazji pierwszego polskiego lotu do stratosfery.

Czy chcesz być koniecznie STARY?



Chamberlain — rybołowca.



„Mr. G." — tenisista.



Rockefeller — golfista.

Rysunki: Charlie — Kraków.

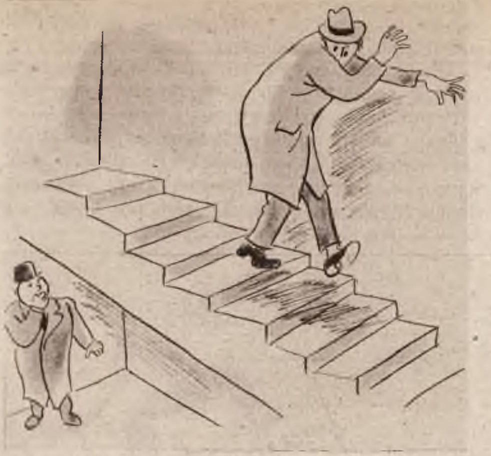


„Młodość" — z filmu Leni Riefenstahl „Olimpjada".

W domu, w którym mieszkam, schody znajdujące się już wewnątrz mieszkania, a prowadzące tylko na pierwsze piętro, przez parę miesięcy były, o zgrozo, bez poręczy. Szczęściem władze budowlane nie miały możności tego wywąchać, tak, że stan ten, wywołany pokazaniem się dna w mej kieszeni, mógł bezkarnie trwać jakiś czas i jakoś to „przyschło", zapewne dzięki temu, że żaden niedołęga z tych schodów nie zleciał. Natomiast przy sposobności zrobiłem pewną obserwację. Cały szereg ludzi, młodych jak i starszych, chodziło tymi schodami jakby poręcz, zwłaszcza na tej wysokości, była przesądem. Trafiali się jednak i tacy, którzy jak szczury sunęli pod samą ścianą, aby jaknajdalej od brzegu, i omal że się nie chwytali paznokciami ściany. Mimowoli zacząłem się zastanawiać, skąd to niedołęstwo i bojaźliwość na wysokości trzech i pół metra, u ludzi w sile wieku. Czyżby to były patologiczne jednostki, obciążone jakąś chorobą fizyczną lub psychiczną? — Nie — ot tacy sobie zwykli ludzie miejscy, żyjący pozornie normalnie, wedle ustalonego szablonu. Jednakże, mieli oni wszyscy pewną wspólną cechę: nigdy żaden z nich nie uprawiał żadnego sportu, ani nie pędził życia w warunkach, wymagających fizycznej sprawności. Stąd, znalazłszy się nagle w okoliczności trochę tylko odmiennej od wydeptanych przez nich, normalnych, wygodnych ścieżek, odrazu stawali się budzącymi politowanie kalekami, lub zniedołężniałymi starcami.

Życie miejskie odsunęło człowieka pracującego umysłowo, od natury, a ściślej powiedziawszy od terenu, będącego częścią niezniwelowanej, nieskanalizowanej i niewyasfaltowanej skorupy ziemskiej, — mającej różne góry i dziury, nieogrodzone i niezaopatrzone w ostrzegawcze tablice z latarniami.

Poruszanie się w tych naturalnych warunkach wymaga pewnej sprawności fizycznej i poczucia terenowego, które mieszczuch zatraca, żyjąc jedynie między biurem, domem, kinem i kawiarnią, chodząc po gładkich brukach, a wakacje spędzając na spacerach z laseczką, po gościńcach, lub wydeptanych ścieżeczkach. Taki tryb życia — to przedwczesna starość ciała i umysłu, drobiazgowość, pedanterja i niemożność wyłamania się z mo-



...idąc po tych schodach, paznokciami chwytał się ściany.



...wolne chwile spędza w zadymionych lokalach, ślęcząc nad kartami.



...przy gwałtowniejszym upadku zwiotczałe ciało rozleci się w kawałki.

notonnych, a nieraz bezmyślnych przyzwyczajeń i codziennych obrządków.

Cóż najlepiej nas zbliża i oswaja z naturą i terenem? Oczywiście uprawianie turystyki lub jakiegoś sportu. Czy to będzie kajak lub żaglówka w lecie, czy narty w zimie, czy polowanie, czy rybołówstwo, — zawsze, choćby uprawiane bez dążenia do jakichkolwiek „wyczynów", dadzą nam dostęp do tego innego świata, tak potrzebnego do zachowania młodzieńczości mięśni i myśli.

Nie chciałbym wygłaszać truizmów na temat znaczenia sportów w dzisiejszych czasach, bo ciągle się o tem mówi i pisze. Ale w jakiż sposób? O Kusocińskim, o treningu, o Olimpjadzie, o tabeli ligowej, o rekordach, o wadze ciała, o punktach, o przysposobieniu, o formie, o taktyce — poprostu jak o jakimś trudnym fachu, w którym osiągnąć mogą rezultaty (o którychby warto mówić) tylko predysponowane przez naturę i specjalnie do tego hodowane jednostki. Sądzę, że takie postawienie sprawy raczej odstrasza przeciętnych ludzi od czynnego uprawiania sportów, bo skądże brać na to czas i środki, a zwiększa tylko rzesze kibiców sportu, takich, którzy uważają się za sportowców, bo czytają od deski do deski wszystkie dodatki sportowe i rozprawiają o tem po kawiarniach. Przypuszczalnie wielu z nich byłoby w kłopocie, gdyby ich ktoś niedyskretnie spytał, jaki sport uprawiają.

Ten rodzaj nastawienia do sportu nie przynosi żadnych korzyści fizycznych i moralnych, które przyniośćby mogło uprawianie samemu jakiegoś sportu, choćby w najskromniejszych rozmiarach, a natomiast wywołuje te wszystkie ujemne skutki, na które dziś już wiele słusznych skarg się podnosi. To opanowanie mózgów przez kibicostwo sportowe przyczynia się do przeżywanego w dzisiejszych czasach kryzysu kulturalnego. Odciąga młodzież od nauki, każe jej ubóstwiać różnych dryblasów, dokonujących superwyczynów, zamiast tego, by część tej młodzieży zwróciła się do tych wielkich ludzi, którzy podnoszą duchowo ludzkość i przynoszą zaszczyt idei człowieczeństwa. U dorosłych, zapamiętałe kibicowanie sportom zastępuje dobrą książkę, zainteresowanie sztuką i kulturą.

Gdybyśmy zamiast interesować się sportem tak fachowo, więcej uprawiali go po amatorsku, tak, jak uprawiali go Anglicy wówczas, gdy sport powstawał i jak uprawiają go zresztą mimo wszystko dalej, — to bylibyśmy znacznie bliżej tej prawdziwej krynicy zdrowia i młodości ciała, jak i myśli.

Przyznać trzeba, że ostatnio narciarstwo przybrało te właśnie dobre, popularne, amatorskie formy. Jeżdżą urzędnicy, lekarze, kupcy, młodzież i całe gromady dam, mających znacznie więcej czasu w zimie od mężczyzn, dzięki czemu mogą zatarasowywać holwegi swymi powabnymi kształtami.

Ktoś mi może zarzucić, że więcej z tego połamanych lub skręconych nóg, niż zdrowia. Taki zarzut jest jednak tylko wodą na młyn mojej tezy o zniedołężnieniu ludzi po miastach. Oczywiście, gdy taki „flak" ludzki wprost od biurka, nic nie umiejąc, wybierze się w trudny teren, to dziwić się tylko można, gdy przy pierwszym gwałtowniejszym upadku wogóle nie rozleci się całe to biedne, zwiotczałe ciało. Natomiast ktoś, kto rozsądnie i stopniowo podchodzi do trudności terenowych, stosownie do postępu własnej sprawności, ten nie połamie tak łatwo rąk lub nóg, choć go potem nieraz i „sponiewiera", jak mówią narciarze, bo ciało jego nabyło już sprężystości, a poczucie terenowe i poczucie własnego ciężaru i szybkości uchroni go od puszczania się na łeb na szyję. Bynajmniej do tego nie potrzeba koniecznie osiągać techniki i wprawy zjazdowca-zawodnika.

Dokończenie na str. 10-tej



„Płotkarz w akcji" — z filmu Leni Riefenstahl „Olimpjada".

Dokończenie ze str. 9-tej.

Zwyczaj „rozbabrywania" swej pracy zawodowej na cały Boży dzień sprawi, że czas wolny, dla siebie, albo ma się w okruchach, albo dopiero wieczorem. Spędza się więc te wolne chwile po handelkach i kawiarniach, albo w nocy nad kartami. Jeśliby niejeden z nas zliczył, ile pieniędzy wydaje w ciągu roku w tych lokalach, wędząc się w dymie, to przekonałby się, iż mógłby kupić za nie parę lat przedłużonej młodości, wydając je na sport lub turystykę i nie mówiłby, że go na to nie stać.

Jeśli tak akcentujemy, że sport to młodość, to mamy także na myśli wpływ jego na zachowanie młodzieńczości usposobienia. Piękna natura, odmienne, nieraz prymitywne warunki i otoczenie odrywają nas od szarzyzny i nudy i od wspomnianych już niewolniczych przyzwyczajeń codziennego szablonu. Pomyślmy, — czy sportsmen może przedstawiać typ tradycyjnego starego kawalera z jego przysłowiowemi przyzwyczajeniami lub dziwactwami? Sądzę, — że raczej nie. Jeśli sport lub turystyka każe mu mieszkać raz w schronisku, raz w komfortowym hotelu, kiedyindziej w chałupie, a potem znowu na statku, to musi wyrobić się elastyczność bytowania, wykluczająca dziwactwa. Raz bowiem będzie miał trzy walizy i komfortową łazienkę, kiedyindziej pomieścić się będzie musiał w plecaku, a umyć pod gołem niebem w cebrzyku. Czy utrzyma się w tym trybie życia jakieś śmieszne dziwactwo? Sądzę, że gdyby nawet było, to zginie po drodze.

Tak odmładzająco działa sport uprawiany z prawdziwego amatorstwa, bez rekordomanji. Natomiast sport postawiony jedynie jako przygotowanie się do osiągnięcia rekordu, przez dociągnięcie całego swego organizmu i całej psychiki do tego wyczynu,— taki sport przyniesie przedwczesną starość. Bo oczywiście — szczytową sprawność, zezwalającą na rekordy utrzymać można tylko przez parę lat najpełniejszej młodości. W świecie tych pojęć sportowych człowiek 30-letni jest już starym gratem, bo nie osiąga już tych szczytowych wyników, co dwa lata temu. Mówi się, że się skończył i najwyżej może być instruktorem lub trenerem. Przypomina to konia hodowanego do wzięcia paru dobrych nagród dla właściciela, a potem, po zerwaniu nóg, używanego tylko do rozpłodu. Taki sportowiec sam czuje się już wyranżerowany, organizm jego przez nadmierne wysiłki zużył się szybciej. Dawny rekordzista żyje już tylko swoją przeszłością, a to jest najistotniejszy znak starości.

Anglik uważa za zupełnie stosowne rozpocząć rozmowę po zapoznaniu się z kimś od pytania: „jaki sport pan uprawia?". Uważa, że to najłatwiejszy i najnaturalniejszy temat do porozumienia się dwóch gentlemanów. Chcecie zachować długo swą młodość? No to starajcie się, aby ten temat stał zawsze do waszej dyspozycji!



WANDA BIAŁOWIEJSKA

N·O·W·E·L·A

MOŻNA I TAK!

★

— Panią Malewską proszą do telefonu.

Od stolika, stojącego pod oknem, podniosła się wdzięcznym ruchem, młoda kobieta o przepysznych jasnych włosach i zręcznie przesuwać się zaczęła między stolikami kolegów, kierując się w stronę drzwi do drugiego pokoju.

Gdy wyszła, przy sąsiednim stoliku zbliżyły się ku sobie dwie głowy, ciemna i utleniona.

— Słyszałaś?

— A-ha!

— A dziś rano kwiaty.

— I to jakie kwiaty.

— A teraz telefon.

— Cóż chcesz, po kwiatach umówione spotkanie; tak się należy.

Długie spojrzenie pada na pęk ponsowych róż, stojących na stoliku Malewskiej i wnoszących do tego przeciętnego biurowego pokoju, powiew innego życia; życia, w którem artyzm i piękno nie jest zbytkiem, a wydanie kilku złotych nie grozi naruszeniem miesięcznego budżetu.

— Cudne róże, ciekawam bardzo, od kogo?

— W każdym razie zapewnić cię mogę, że nie od męża.

— No!

Westchnęły i pochyliły się nad odrabianymi kawałkami.

Telefon był w drugim pokoju, zwanym w żargonie biurowym „męskim" ze względu na przewagę tej płci wśród pracujących w nim urzędników.

— Hallo! Tak, to ja. Dobrze! Tak. Tak. Ależ tak. No, nie mogę mówić wyraźnie. Dziś w Europie. Ósma. Dobrze, będę. Do widzenia. Do ósmej.

Biała ręka odkłada słuchawkę, ale zatrzymuje się w pół ruchu.

— Hallo! Jest pan jeszcze? Dziękuję za kwiaty.

Smukła postać wraca na swoje miejsce pod oknem, spojrzenia kolegów biegną w ślad za nią.

— Ciekawym, z kim to spotkanie? — mruczy łysawy blondyn.

— No, w każdym razie... nie z mężem.

— Ha! nowoczesne małżeństwo — dorzuca trzeci.

W tonie dźwięczy trochę ironji, a może trochę, troszeczkę zazdrości.

Koledzy patrzą na siebie porozumiewawczo.

Te zdania biegną z ust do ust, z pokoju do pokoju, nawet woźny Antoni zwierza się gońcowi Kazimierzowi.

— A jabym tam mojej starej wybił z głowy kwiaty.

Goniec, młody, wysmukły chłopiec, pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

— Nie grozi to panu Antoniemu.

I tak było już prawie codziennie.

Pani Malewska była przed małżeństwem ulubienicą wszystkich. Pannę Niusię (tak ją nazywano powszechnie) lubiły koleżanki, uśmiechali się do niej woźni, flirtowali z zacięciem koledzy.

Miała takie jasne włosy, tyle pogody w uśmiechu i takie czasami niepokojące błyski w oczach. To też, kiedy rozeszła się wiadomość, że wychodzi zamąż i to nawet nie za żadnego z kolegów, ale za urzędnika z obcego biura, kiedy już zaczęto zbierać skromną składkę na prezent ślubny, nie obeszło się bez uwag:

„Szkoda dziewczyny. Jeszcze jedna, która ugrzęźnie po szyję w puchu rodzinnego gniazdka" — mówili koledzy, a koleżanki pytały: Czy ładny?, oglądały fotografje, wzdychały i dodawały: Ale jednak znasz go tak mało! — Przyszłem małżeństwem interesowało się całe biuro. Troszczono się o to, jak młodzi zorganizowali sobie życie, dawano rady, wygłaszano przepowiednie i przypuszczenia, urządzano razem z nimi przyszłe mieszkanie, uśmiechano się dobrotliwie i opiekuńczo, ilekroć narzeczony telefonował. Obiecywano wreszcie po ślubie wpłynąć, aby pani Niusia nie miała wieczorówek. Słowem „wychodzili zamąż" wszyscy, począwszy od kierownika, aż do woźnego. I obiecywano sobie, że po ślubie znowu całe biuro przeżywać będzie miodowe miesiące, pierwsze nieporozumienia i pierwsze zgody, że będzie świadkiem, współdoradcą w wyborze jadalni, saloniku, a nawet — no tak — nawet sypialnego pokoju.

Aż tu nagle wszystko poszło inaczej.

Po powrocie z urlopu (brali ślub w lecie) zaczęły się telefony, kwiaty, jakieś tajemnicze umówione spotkania.

No cóż, Niusia nigdy nie odgrywała naiwnego dziewczątka, ale żeby aż tak...

„Nowoczesne małżeństwo" — szeptało całe biuro, trochę zawiedzione i bardzo zaciekawione.

Pani Niusia wypiękniała, uśmiechała się jeszcze chyba promienniej i drapowała się w te telefony i wonne kwiaty, niby w najpiękniejszą pelerynę ze srebrnych lisów. Rzeczywiście trudno pamiętać, że te same sukienki nosiła jeszcze w zeszłym roku, wobec takich róż lub pysznych jesiennych chryzantem.

Biuro było podminowane, skręcało się z ciekawości, ale musiało milczeć.

— I żebyś wiedział, jakie kwiaty. Oj, ci mężczyźni — dzieliła się wrażeniami z mężem sąsiadka Niusi.

— Trudno, kto jest tak piękny.

— Bo, co wy w niej wszyscy takiego pięknego widzicie.

— Możeś ładniejsza.

— No wiesz, jeśli tak do mnie mówisz, to skończmy rozmowę.

Gniewne trzaśnięcie drzwiami.

Tak więc ponsowe róże zakłócały spokój nawet w niejednem ognisku domowem.

A pani Niusia po dawnemu wesoło rozmawiała z kolegami, przyjmowała telefony, uśmiechała się do kwiatów, których zresztą nigdy nie zabierała do domu, a gdy czasem któryś z kolegów rzucał od niechcenia pytanie: „czy mąż cieszy się bardzo tem po

Dokończenie na str. 12-tej.

POCAŁUNEK SŁOŃCA
Fot. inż. W. Chromiński, Kraków.



Dokończenie ze str. 10-tej.

wodzeniem żony' — wzruszała ramionami, odpowiadając spokojnie:

— A cóż to ma jedno z drugiem wspólnego.

I wszystko toczyłoby się spokojnie dalej, gdyby koleżanka z biura pani Malewskiej panna Zochna nie poznała przypadkiem pana Kazimierza.

Poznali się na imieninach u krewnych, przypadli sobie wzajemnie do gustu, poszli razem do kina, potem dwa razy do cukierni i ma się rozumieć zaczęli rozmawiać o kolegach biurowych.

— To pani pracuje razem z tą przepiękną panią Niusią, żoną naszego buchaltera Malewskiego? — zazdroszczą mu jej wszyscy.

Panna Zosia wydęła usta.

— Rzeczywiście, jest czego.

— Jakto! piękna, miła, kochająca.

— Piękna? zgoda, choć ma za szerokie usta, ale kochająca??

— Stefan mówi o niej z zachwytem.

— Jak każdy mąż.

— Panno Zochno, co pani chce przez to powiedzieć?

— Ej nie, tylko!...

— Pewno jakieś babskie ploteczki, docinki, a w gruncie rzeczy nic i nikt, w sumie zero, tylko nie to, którem teraz jedziemy.

— Jakto zero? Takie róże czy chryzantemy to nic?

— Co takiego?

— A telefony, to nikt? pewnie zegarynka...

— Co też pani... mówi?

— No więc niech pan słucha, dziś były róże i Swan, wczoraj chryzantemy i Europa, w poniedziałek bez kwiatów umówili się w Café Clubie...

Pannę Zochnę aż „zatkało", no, bo ta Niusia to ma szczęście, a pan Kazimierz to wybiera tańsze kino, że niby tego filmu jeszcze nie widział, a podobno bardzo dobry.

Pan Kazimierz kiwał głową.

— No, no, aż tak, a myśmy właściwie jej żałowali.

— Bo co?

— No, bo on też różowe liściki, telefony.

— Nowoczesne małżeństwo.

— Mówi to pani, jakby z zazdrością.

— No pewnie. Małżeństwo i swoboda, każdyby tak chciał. Szczęśliwa Niusia.

— No i Stefan też, bo.

Pan Kazimierz nagle się roześmiał.

— Panno Zochno, a możebyśmy się tak przekonali?

— Niby o czem?

— No kto, z kim?, chodzi tylko o to, żeby wiedzieć, gdzie? ale to przecie można wywnioskować z telefonów. Nie?

— No tak. A kogo wpierw zdemaskujemy?

— O kim się wpierw dowiemy. Zgoda?

— Dobrze.

* * *

We czwartek pan Kazimierz zatelefonował do panny Zochny.

— Dziś o 8-ej w Swanie. Może pani?

— Mogę.

— A może przedtem pójdziemy do kina?

— Gdzie?

— Do Adrji, dają tam taki ciekawy film, nie zdążyłem go obejrzeć na zero-ekranie.

— No, dobrze.

Panna Zochna położyła słuchawkę, wróciła na swoje miejsce i z tajemniczym trochę złośliwym uśmiechem spojrzała na biurko pani Niusi, na którem od wczoraj pysznily się znowu róże.

* * *

Zaciszny lokal — niskie stoliczki — wygodne fotele, barwy łagodnie przyćmione — Swan.

Niema tu gwaru hałaśliwych rozmów, targającej nerwami orkiestry, ani kelnerów o cynicznych uśmiechach i kociej zręczności, tu się rozmawia półszeptem, oklaskuje artystyczne popisy i pije herbatę podaną przez wytworną pokojówkę, płacąc za nią potrójną cenę. Nie przychodzą tu emeryci na pisma, ani nie załatwia się tu interesów. Przychodzą pary i małe kółka znajomych. Jeżeli przy takim stoliku siedzi samotnik lub samotnica, czeka z pewnością na drugą swoją połowę.

Przy stoliku w kącie, trochę odsuniętym od innych, młody pan już nie czeka. Przyszła przed chwilą i teraz pochylają się ku sobie młodzi, urodziwi, zadowoleni z siebie, z kawiarni, ze świata.

— Więc nie domyślają się niczego?

— Niczego.

— Trzeba przyznać Stef, że twój pomysł był doskonały.

— Widzisz, mam pomysły!

— Och wiem, wiem, ty ministerjalna głowo.

— Schylona narazie nad księgą buchalteryjną.

— Nikt nie był oceniony za życia.

— W takim razie wolę nim nie być jak najdłużej.

Zaśmiali się wesoło.

— Więc naprawdę jesteś zadowolona z mego pomysłu?

Oczy pani Niusi spojrzały uważnie na męża.

— Och tak, dlaczego pytasz?

— Mam wrażenie, że jesteś jakaś dziwnie poważna i trochę jakby podenerwowana.

— Poprostu trochę zmęczona.

Pan Stefan podnosił do ust filiżankę czarnej kawy.

— Wiesz, kiedy mi ten pomysł przyszedł do głowy, kiedy cię prowadziłem do ołtarza i widziałem te wszystkie spojrzenia wlepione w nas i to czające się w nich pytanie — „no zobaczymy, jak to długo będzie". Słyszałem już te ich wszystkie niby życzliwe rady, uwagi, spostrzeżenia.

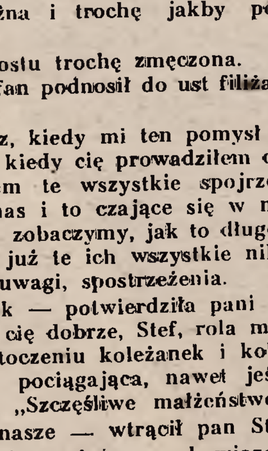
— O, tak — potwierdziła pani Niusia — rozumiem cię dobrze, Stef, rola młodej mężatki w otoczeniu koleżanek i kolegów nie jest wcale pociągająca, nawet jeśli sztuka nosi tytuł „Szczęśliwe małżeństwo".

— Jak nasze — wtrącił pan Stefan.

Koleżanki uważają za obowiązek współczuć młodej mężatce i patrzeć na nią z politowaniem.

Zaśmiała się.

Że to niby zamknęły się już za nią drzwi flirtu, swobody, powodzenia — te drzwi, których one w żaden sposób zatrzasnąć za sobą nie mogą. I to politowanie drażni



i podnieca, aby im na złość. Bo przecież ja też nie chciałabym odgrywać roli kury domowej, uwiązanej za nogę do rodzinnego tapczana.

— A tak. Żebyś wiedział, z jakiemi minami pożerają oczami moje kwiaty! Dlatego szczerze ci jestem wdzięczna Stef, za twój pomysł, dał nam tyle przyjemnych chwil.

Pan Stefan mieszał łyżeczką kawę, choć już dawno ostygła.

Tak, ale ja miałem wtedy na myśli jeszcze coś innego.

Oczy pani Niusi pociemniały.

— Co takiego?

— Widzisz, ja się bałem nietylko kolegów, bałem się trochę samego siebie.

— Nie rozumiem.

— Jakby ci to powiedzieć, bałem się trochę tego swego domku, swego obiadu, jednem słowem jednostajności codziennego dnia, uświęconego sakramentem.

Pani Niusia milczała, spuściwszy głowę.

— Rozumiesz mnie Niusiu?

— Rozumiem — powiedziała zupełnie cicho — tylko widzisz Stef, ja właśnie...

Ale pan Stefan nie słuchał.

Tymczasem wierz mi, ile razy telefonuję do ciebie, mam uczucie, jakbym się naprawdę umawiał z kimś innym, a ile razy siedzimy w cukierni tak, jak dziś, mam ochotę obejrzyć się na...

Pan Stefan obejrzał się naprawdę i urwał w pół słowa.

Pani Niusia podniosła do ust ciastko:

— Co się stało?

— Nic, tylko tam na prawo ta mała blondynka patrzy na nas z takiem przerażeniem. Spójrz, ona się chyba udławiła.

Pani Niusia spojrzała i ciastko wypadło jej z ręki.

— Stef! uciekajmy, to moja koleżanka, wracajmy do domu. Ale z kim ona siedzi?

— Z drugim buchalterem naszej firmy — odpowiedział ponurym głosem pan Stefan, podnosząc rękę, aby przywołać kelnera.

Wrócili do domu natłoczonym tramwajem, nie mówiąc do siebie ani słowa. Dopiero, kiedy zamknęły się za nimi drzwi ich nowoczesnego mieszkania, pan Kazimierz, wieszając okrycie żony, zaklął szczerze.

— A niech to wszyscy djabli!

Pani Niusia nie odpowiedziała.

— Płynął, płynął, a przy brzegu utonął — ciągnął dalej pan Stefan, wchodząc do pokoju.

Pani Niusia, dziwnie milcząca, stała przed aparatem radjowym, przerzucając kartki „Anteny".

— No cóż ty nic nie mówisz. Głupstwo jednak zrobiliśmy — prawda?

— Widzisz Stef — podniosła na niego oczy.

— Skończone, wiem, ale nawet teraz nie żałuję.

— Nasłuchamy się uwag, żarcików, docinków, za cały ten czas, odbije się na nas z procentem.

— Tak, ale to teraz, kiedyśmy przebrnęli pierwsze najdrażliwsze miesiące, zżyli się z sobą, polubili, no wiesz sam, zresztą ten żart i tak nie mógłby trwać długo.

— Dlaczego?

— Widzisz Stef, ja przez cały wieczór chciałam ci to powiedzieć, ale czekałam, aż wrócimy do domu, bo ja, bo my, zawahała się — ciemny rumieniec pokrył jej twarz aż po jasne puszyste włosy. — Nie wiem, może będziesz niezadowolony, ale...

— Co Niusiu?

— Ale, my już niedługo będziemy w tem mieszkaniu we troje i...

— Niusiu! naprawdę?

— Tak, Stef.

I pani Niusia zarzuciła ramiona na szyję męża, tuląc się do niego serdecznie.



BALET PARNELLA ZNÓW TAŃCZY



Powyżej: Zygmunt Wiehler.



Zizi Halama i Feliks Parnell w obrazie „Ręce mówią" (Habanera).

Ciekawą jest ewolucja Baletu Parnella. Pierwsze jego występy w kraju, po pełnem sukcesów tournée zagranicą, udowodniły, że twórca i kierownik najlepszego naszego zespołu tanecznego obrał zdecydowanie drogę propagowania narodowych form tańca, przy równoczesnem nadaniu im oryginalnych, nowoczesnych ram. Impreza Feliksa Parnella musiała więc dlatego przybrać rozmiary, imponujące przedewszystkiem liczebnością zespołu i co za tem idzie rozmachem tła dekoracyjnego oraz bogactwem kostjumów. Występy tak pomyślanego baletu wywarły na widzach niezapomniane wrażenie. Każdy zdawał sobie wówczas sprawę, że do wymienionych już walorów, które nawet laikowi rzucały się w oczy, trzeba było zaraz dodać cały szereg innych, wypływających z wysokiego kunsztu tanecznego Parnella i jego zespołu, rzadko niestety u nas spotykanej kultury artystycznej i wynikającego z niej umiaru w stosowaniu środków ekspresji choreograficznej.

Sam rzetelny talent i dodana mu przedsiębiorczość zdziałać mogą cuda. Tak rzecz się miała i z baletem Parnella. Jednak tego rodzaju kosztowna impreza, będąca nietylko wielką pozycją w bilansie naszej narodowej kultury artystycznej, ale i olbrzymim atutem propagandowym, obliczonym na zagranicę, no i na... naszą prowincję, nie mogła mieć długiego żywota bez wydatnej pomocy ze strony miarodajnych czynników, powołanych do opiekowania się każdym zdrowym przejawem prywatnej inicjatywy artystycznej. W stosunku do baletu Parnella zapomniano — niestety — o tych obowiązkach i zmuszono w ten sposób świetnego tancerza do zaniechania dalszej pracy na tak szeroko pomyślanej płaszczyźnie.

Parnell bynajmniej nie rezygnuje z wykorzystania każdej możliwości, by udowodnić, że stać go zawsze na zorganizowanie imprezy, może skromniejszej, jeśli o rozmiary idzie, niemniej jednak zawsze wykazującej wysoki poziom i cyzelerstwo w opracowaniu artystycznem. Wyrusza na nowe tournée razem z żoną, świetną Zizi Halamą, bez której trudno sobie wyobrazić prawdziwą żywotność baletu, Danutą Dymiszkiewicz, młodą, wszechstronny talent taneczny objawiającą artystką i trójką, poddających się wskazówkom swego mistrza, jak żywe srebro tancerzy, z których T. Woliński zapowiada się na rewelację polskiej choreografji. Interesujący program nowych występów baletu Parnella został opracowany przy współudziale znanego kompozytora Zygmunta Wiehlera, który nadał jego poszczególnym obrazom doskonałą, jak zwykle oprawę muzyczną.

Obecne tournée Parnella obejmuje na razie większe miasta Polski, które będą miały okazję przekonania się o zawsze nowych koncepcjach twórcy najlepszego naszego baletu. Potem przyjdzie kolej na zagranicę i nowe tam laury. J. Leo.



Powyżej: Danuta Dymiszkiewicz i T. Woliński w „Rumbie".



Na lewo w środku: Halama, Parnell i Woliński w „Żołnierzykach".



Powyżej: Parnell i Halama tańczą walca angielskiego.



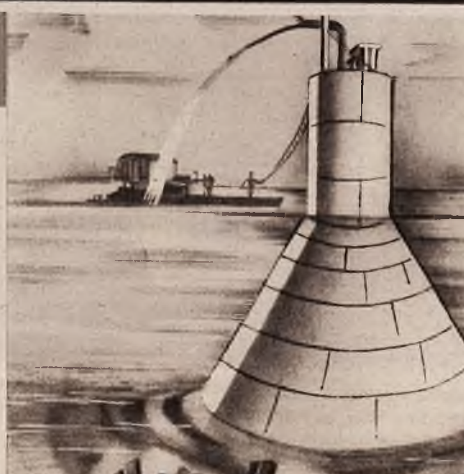
Poniżej: Kapitalna scena baletowa: „Tańcowały dwa Michały".



Na lewo: Nurek po powrocie z dna morza relacjonuje o położeniu zatopionej fregaty „La Lutine".

GORĄCZKA ZŁOTA NA DNIE OCEANU

Na prawo: Cylinder pomysłu inż. Beckera, z pomocą którego zamierzał on dotrzeć do zatopionych skarbów.



Złoto! — dziwny metal. Jedyny, który w stanie stałym posiada barwę żółtą. Uczeni mówią, że jest to najprawdopodobniej najstarszy metal, używany przez ludzi. Wspaniałe zabarwienie, blask i niezniszczalność jego, to cechy, które zwróciły na niego uwagę pierwotnego, przedhistorycznego człowieka. Jakiś tajemniczy stosunek zadzierżgnął się już wówczas między człowiekiem a złotem. Od najdawniejszych czasów po dzień dzisiejszy, tęsknota i pożądanie ludzi skupia się z pośród wszystkich rzeczy materjalnych, przedewszystkiem na złocie. Znaleźć je można w najdawniejszych wykopaliskach przedhistorycznych i dzisiaj jeszcze panuje nad gospodarką światową, będąc przedmiotem pożądań miljonów ludzi. Strzegą też złota wymyślne zamknięcia, potężne skarbce i nowoczesne komórki fotoelektryczne.

Zazdrośnie spoglądają wszyscy na posiadaczy tego metalu. Państwo gromadzi je, strzeże i obwarowuje różnymi przepisami i ograniczeniami, widząc w niem jakgdyby gwarancję urzeczywistnienia swych zamiarów w czasie pokoju i wojny. Daremnie staralibyśmy się zrozumieć przyczynę niezwykłego znaczenia tego żółtego metalu. Żadne racjonalne względy nie mogą wytłumaczyć zagadkowego splendoru i znaczenia, jakie ono posiada. Były i są liczne próby oderwania się od złota. Ale wszystko wydaje się marnym wysiłkiem i syzyfową pracą. Złoto jak było, tak i dziś jest najważniejszym miernikiem wartości i nie ma widoków, aby pod tym względem zaszły jakieś zmiany.

Pożądanie złota znalazło już w mitologji greckiej swój wyraz w podaniu o Midasie, królu Frygji, który od Bakchusa otrzymał w darze zdolność do zamiany w złoto wszystkiego, czegoby się dotknął. Mit, opowiadający, jak to śmierć głodowa zagrażała Midasowi, gdy wszystko, co chciał zjeść i wypić, zamieniało się w najcenniejszy na świecie metal, zawiera głęboką myśl i jedną z najdawniejszych krytyk potęgi złota na ziemi.

Najrozmaitsze formy przybierała gorączka złota w ciągu wieków. Iluż to było poszukiwaczy skarbów na lądzie i morzu, ile wysiłków poświęcono wyprawom po „złote runo"! Nawet dzisiaj, w czasach pozornie nieromantycznych, wiadomość o jakimś ukrytym skarbie rozbudza natychmiast namiętności zapaleńców. Obecnie, blisko wybrzeży Holandji wre intensywna praca nad wydobyciem skarbów złotych z wraku okrętu, zatopionego przed 140 laty. Warto bliżej zapoznać się z historją tego zdarzenia.

Pewnego dnia październikowego w r. 1799 angielski statek „La Lutine", który poprzednio należał do Francji, znajdował się w drodze z Yarmouth do Hamburga. Statek ten miał zatrzymać się na wyspie Texel, dokąd woził żołd dla angielskiej załogi tam stacjonowanej. Podczas podróży wieczorem rozpętała się burza. Fregata żaglowała właśnie wzdłuż holenderskich wybrzeży. W pobliżu niebezpiecznych okolic Terschelilingu pilot zabłąkał się i fregata już nigdy nie miała do portu zawinąć. Najprawdopodobniej wiatr zapędził statek na ławice piasku, znajdujące się w tych okolicach bardzo płytko pod wodą.

Straszna tragedja rozegrała się owej nieszczęsnej nocy. Na drugi dzień rybacy znaleźli w pobliżu pływające szczątki okrętu. Zdążyli jeszcze zauważyć wrak, nad którym pastwiły się bałwany morskie. Ale nie mogli zbliżyć się do niego, wyławiając z fal rozmaite przedmioty, skrzynie, kufry, które dookoła unosiła woda. Nagle wielka fala pochłonęła i na wieki przykryła resztki statku. Jednego rozbitka zdołano jedynie przez czas krótki utrzymać przy życiu. Ten właśnie miał przed śmiercią wyjawić tajemnicę okrętu. Oto „La Lutine" poszła na dno z cennym ładunkiem. Znajdował się tam nietylko żołd dla załogi angielskiej w Texel, ale ogromny skarb, wartości setek miljonów w sztabach złotych i srebrnych. Kto wie, czy właśnie ten ciężki ładunek nie był jedną z przyczyn katastrofy, utrudniając manewrowanie przeciążonym okrętem.

Od owej chwili, kiedy wiadomem się stało, że bardzo blisko holenderskich wybrzeży, kilka mil od Harlingen, znajduje się skarb pod wodą, datują się gorączkowe poszukiwania złota, ukrytego w morzu. Poszukiwania te trwają już przeszło 100 lat. Co więcej, były one uwieńczone powodzeniem. W pierwszych 60 latach zdołano wydobyć złota i srebra wartości miljonowej. Prace nad wydobywaniem tego skarbu stały się coraz trudniejsze, gdyż ciężki okręt zanurzał się coraz bardziej w piasku.

Minęło lat kilkadziesiąt, bez ważniejszych zdarzeń. W r. 1886 powstało konsorcjum, którego celem było wydobycie zatopionego skarbu z „La Lutine". Ale nie zdołano zrealizować tego przedsięwzięcia. Co więcej, wskutek zaginięcia papierów, pochodzących z dawnych poszukiwań, zapomniano wogóle, gdzie okręt ten się znajduje. Poszukiwano więc na ślepo, ale bez powodzenia. Od tego czasu uważano skarb z „La Lutine" za stracony. Ale pamięć o nim bynajmniej nie zaginęła. Okoliczni mieszkańcy ciągle o nim mówili i marzyli. Brakło im jednak środków i energji do nowej próby. Wreszcie kilka lat temu przyjechał nad morze dla spędzenia wakacyj niemiecki inżynier dr Becker. Oczywiście zaraz po przyjeździe dowiedział się bliższych szczegółów o zatopionym okręcie. Myśl o „La Lutine" zaczęła go prześladować i nie dawała mu spokoju. Skonkretyzowała się ona w pewnym pomyśle. A mianowicie postanowił on zanurzyć szeroki cylinder w morzu w tem miejscu, gdzie przypuszczalnie znajdować się miała „La Lutine". Odpowiednie pompy ssące miały z tego cylindra wyssać przedewszystkiem wodę i piasek, przykrywający szczątki wraku. W miarę usuwania piasku cylinder miał

zanurzać się coraz głębiej i dotrzeć wkońcu do okrętu. Wtedy dopiero zaczęłaby się praca nurków, którzy przystąpiliby do wydobywania zatopionego skarbu. Beckerowi udało się zainteresować kilku kapitalistów dla swojej myśli Zbudowano odpowiednią machinę i zarzucono kotwicę. Niestety jednak morze strzegło zazdrośnie swej tajemnicy. Ciężka rura w postaci wieży została uniesiona przez burzliwe fale jak lekki korek. Niezmordowani poszukiwacze złota montowali maszyny raz i drugi. Pochłaniało to ogromne sumy pieniędzy, aż wkońcu spólnicy Beckera, zrażeni olbrzymiemi wydatkami, zrezygnowali z dalszych poszukiwań.

Znowu minął jakiś czas. Sprawa „La Lutine" nagle odżyła. Odnalazły się bowiem dawne papiery okrętowe, zawierające szczegóły o ładunku fregaty i o sposobie jego rozmieszczenia na okręcie. Sprawą zajął się miejscowy przedsiębiorca transportowy, Doeksen z Harlingen, człowiek doświadczony. znający przedewszystkiem doskonale teren i dość zamożny. Wyposażył on dwa statki „Volharding" i „Texel" dla dokonania tego przedsięwzięcia. Odrazu osiągnięto znaczny sukces. Mianowicie udało się w 1. 1935 i 1936 wydobyć rozmaite szczątki zatopionej fregaty; łańcuchy, kule armatnie, kawałki mostku i masztu, ale wskutek prawie nieustannej niepogody nie zdołano mimo wszystko dostać się do samego skarbu. Okazało się, że okręt zanurzył się już w piasku na głębokość 10 metrów. Musiano w piasku wyżłobić dziurę o średnicy 10 m i przez ten otwór nurkowie dobierają się nieustannie do okrętu.

Można sobie wyobrazić gorączkową pracę tych ludzi. Okręt mają już przed sobą, dotykają jego ścian, mogą je rozbijać na części, są pewni, że wewnątrz znajdują się jeszcze nienaruszone sztaby złota i srebra, bo woda morska nawet w ciągu 1000 lat nie rozpuści np. pierścienia ze złota, tego metalu, który jest najbardziej odporny na rozpuszczające środki chemiczne, a dostać się do skarbu jakoś nie sposób. Mimo nieustannej pracy postępy jej są dość nikłe. Co tylko zdołano uprzątnąć nieco piasku, to morze natychmiast nanosi świeży piasek i znowu przykrywa to, co zdołano odsłonić. Ileż to cierpliwości, namiętności, pasji poprostu trzeba, aby nie opuszczać w takich wypadkach rąk i nieustannie dalej pracować.

Pan Doeksen jest właśnie typem takiego człowieka. Zimny, suchy blondyn, rosły i nieustępliwy. Zamiast pomp postanowił on ostatnio zastosować bagrownicę i sprowadził słynną już dziś „Karimatę". Pracuje ona o wiele prędzej i wydajniej. Pomyśleć, że cały okręt znajduje się zaledwie 18 m pod poziomem morza, z czego 8 m przypada na wodę, a 10 m na piasek. Cała rzecz polega na tem, aby zwyciężyć w tym wyścigu i prędzej usuwać piasek, niż prądy morskie na świeżo go naniosą. Doeksen wykorzystuje każdą pogodną chwilę, by w tym czasie wybagrować piasku jak najwięcej, tak, aby w czasie złej pogody, gdy musi się pracę przerwać, woda nie zdołała z powrotem zasypać drogi, wykopanej dla nurków.



Na lewo: Doeksen porozumiewa się telefonem z nurkiem.



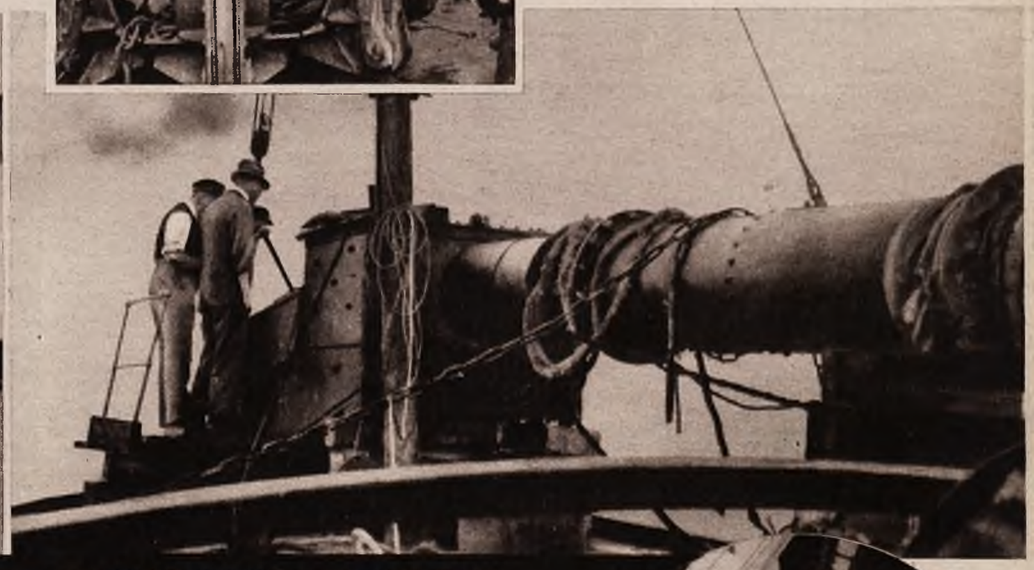
Na prawo: Wieża dźwigu na „Karimacie".

Łyżki bagrownicy „Karimata" wyrzucają od szeregu miesięcy miljardy litrów wody i piasku. Wszystko pada na sita, na których zatrzymuje się to, co jest większe od orzecha włoskiego. Widać tu ryby, o ciekawych kształtach, wszelakie muszle, gwoździe, monety, broń, buty, a nawet maszynki do kawy. Praca wre bez przerwy, jak długo sprzyja pogoda. Co pewien czas nurkowie w skafandrach zanurzają się w morzu, aby zbadać wynik pracy dokonanej przez bagrownicę. Dzięki połączeniu telefonicznemu można się z nimi komunikować, gdy przebywają na dnie. Nieraz zażądają jakichś narzędzi, obcęgów lub łańcuchów, które im się na dół podaje, poczem wypływają, wyciągając na wierzch swoją zdobycz. Układa się ją w jednem miejscu. Doeksen ma tam już setki kul armatnich, bloki stali, które miały zapewnić stateczność okrętu. Doeksen przypuszcza, że część tych bloków w „La Lutine" była zastąpiona sztabami złota, z których zaledwie jedną zdołano wydobyć. Doeksen jednak nie traci nadziei. Twierdzi on, że skoro „La Lutine" oddaje swoje żelazo i swoje drzewo, to odda także całe swoje złoto. Trzeba tylko być cierpliwym.

Tak więc czas mija, a wysiłek ludzki jest niewyczerpany. Zimne fale morza nie potrafią ugasić gorączki złota. Czy Doeksen zwycięży, czy wkońcu zrezygnuje, tak jak jego poprzednicy? Pytanie naprawdę pasjonujące. Doeksena cechuje jednak wielka wytrwałość. Jego gorączka jest „zimna". Może więc on jednak okaże się zwycięzcą.

Inż. J. A.





Od lewej: Części metalowe fregaty, wyciągnięte na pokład bagrownika. — Doeksen kieruje osobiście akcją z pokładu „Karimaty".



W kole: W oczekiwaniu na powrót nurka.
Zdjęcia: Aral Press Service — Paryż.

NA ZAMKU LEGEND...



Gdy jadąc z Locarno do Montreux minąłem tunel Simploński, pierwszy oddech rozłożystej doliny Rodanu przywiódł mi na pamięć obrazy, jakie jeszcze na ławie szkolnej wyczarowywała w mej wyobraźni historja bohaterskich walk ludu szwajcarskiego. Zawiązałem na ten temat interesującą rozmowę z towarzyszem podróży, rodowitym Berneńczykiem, który spostrzegłszy, że przybywam w te strony po raz pierwszy w życiu, doradził mi z uprzejmością właściwą Szwajcarom, co powinienem przedewszystkiem zwiedzić i zobaczyć.

Zapadał wieczór, gdy \dojeżdżaliśmy do brzegów Lemanu. Zdala widoczna jego tafla, w której przeglądało się zachodzące słońce — powoli ciemniała. Wnet brzegi zapłonęły setkami świateł, które w górze spowiły łuną zamglone stoki okolicznych gór, a w dole zeszły w głąb jeziora jarzącemi się smugami. Na tle tych świetlnych ścieżek, wyrósł nagle przed memi oczami, niby fantom wśród nocy, jakiś rozłożysty a szczerbaty górą kształt biały, który przywarł tuż nad wodą, jakby na wyspie opodal brzegu...

— To Chillon, stara warownia sabaudzka — objaśniał Berneńczyk. Z okien pociągu widać było zamek coraz lepiej. Teraz odróżniałem już poszczególne jego baszty i wyniosłą wieżę, stojącą pośrodku. Za chwilę plant kolejowy zbliżył nas jeszcze bardziej i wówczas między konarami drzew dostrzegłem drewniany most zwodzony, przerzucony nad głęboką fosą, a nad nim księżyc, który wschodząc spotęgował swym blaskiem jeszcze bardziej biel murów zamczyska. Widok był to naprawdę niezapomniany. Postanowiłem też zaraz nazajutrz wybrać się z Montreux, aby zamek dokładnie zwiedzić.

W świetle dnia Chillon nic nie stracił ze swych uroków. Jego wspaniała architektura, kontrastująca z otoczeniem, niepospolite położenie i doskonale zachowane mury powodują, iż ktoś, kto nie znałby historji tej ziemi, mógłby snadnie przypuszczać, że jest to budowla wzniesiona dopiero niedawno, na wzór zamków średniowiecznych gwoli atrak-

Dokończenie na str. 18-tej.

Na lewo: Zamek Chillon (Czyllon) od strony wjazdu.

Poniżej: Wykule w skale podziemia zamku, w których więziono Franciszka Bonivarda.

Fot. Zygmunt Borzęcki — Montreux.





cyj dla turystów. Tymczasem z murów Chillon'u patrzy na zwiedzających wiele wieków, pełnych chwały panujących tu rodów królewskich i książęcych, a potem władz wolnej ziemi szwajcarskiej. Każda baszta, fragment lochu, załamanie murów obronnych — ba! nawet każdy ich kamień ma swoją historję, jakże bogatą w przeżycia słynnych ludzi, ich wzloty i upadki.

Po moście zwodzonym dostajemy się na wysepkę, na której stoi zamek, oblany z trzech stron wodami jeziora. Od strony bowiem brzegu fosa jest sucha, a stało się to wskutek obniżenia się poziomu wód Lemanu. Jak legenda głosi, w zamierzchłych czasach runął z pobliskiego szczytu w nurty jeziora olbrzymi blok skalny. Na nim to właśnie miano zbudować zamek Chillon. O początkach tej warowni nie wie się nic pewnego. W kronikach Radbert'a z IX wieku istnieją już opisy Chillon'u w związku z uwięzieniem w jego lochach hrabiego Wala przez cesarza Ludwika I. W tym czasie na wyspie stała już wyniosła wieża, którą wznieść mieli jeszcze Rzymianie, przeciągający tym szlakiem na północ, nad brzegi Sekwany i Tamizy. Pod wieżą znajdowały się jaskinie, wypłukane w skale przez wody jeziora. Zamieniono je na lochy, które z biegiem lat, gdy wokół wieży budowano zamek, znacznie powiększono przez wykucie w skale całych podziemi, ciągnących się na przestrzeni 100 metrów. To były czasy panowania na tych ziemiach Karolingów. Po nich zamek przeszedł na własność królów burgundzkich, potem cesarzy Rzeszy, wreszcie na ród de Maurienne, któremu przypadło w udziale hrabstwo Sabaudji. Z okresu rządów de Maurienne'ów istnieje też właściwie pierwsza urzędowa, a przez to autentyczna wzmianka o Chillon'ie w dokumencie donacyjnym Humberta II-go, hrabiego Sabaudji (zmarł w roku 1103) na rzecz sąsiedniego opactwa Haut Crêt, które wówczas otrzymało na własność sąsiadujące z zamkiem włości.

Ale dopiero w roku 1248 Chillon nabiera dzisiejszego wyglądu, rozbudowany przez Piotra II-go Sabaudzkiego, zwanego Małym Karolem Wielkim (le petit Charlemagne). Jego więc można uważać za budowniczego dzisiejszego zamku, który staje się wówczas ważną ze względów strategicznych warownią. Dawna wieża, na której umieszczono dzwon alarmowy, pozostaje punktem centralnym całej budowli. Po rogach powstają wyniosłe baszty, a w nich znajdują pomieszczenie ponure sale tortur. Między basztami wznosi się gmach mieszkalny o dwóch piętrach, z których wyższe bywało zamieszkałe

Jedna z komnat na zamku Chillon. Zdjęcia Zygmunt Borzęcki — Montreux.

przez hrabiów a potem książąt Sabaudzkich i ich dworzan. Po dziś dzień zachowały się wspaniałe sypialnie księcia i księżnej, ozdobione liljami i krzyżami sabaudzkimi. Pierwsze piętro zajmował burgrabia zamku. Na parterze znalazły pomieszczenie kolejno: sala rycerska, jadalnia, której strop wsparty jest na kolumnach z rzeźbionego dębu, sala sądu z zejściem do lochów, sale arsenału i piękna kaplica zamkowa, ozdobiona freskami i połączona schodami bezpośrednio z częścią mieszkalną zamku. Lochy, jak wspomniałem wyżej, powiększono wówczas, wykuwając w skale znaczne przestrzenie, które wzmocniono gotyckiem sklepieniem, wspartem na filarach. Na nich to widnieją wyryte nazwiska więźniów Chillon'u (po polsku Czyllonu).

W czasie walk Piotra II-go z hrabią Genewy, Chillon staje się główną siedzibą księcia Sabaudji, nabierając nietylko blasku i splendoru, ale i umacniając swe urządzenia obronne. Najazd wojsk Rudolfa z Habsburga, które w sile 1500 ludzi pod dowództwem księcia Zoffinguen oblegają zamek, kończy się przegraną Rudolfa. Zwycięski dla Piotra wynik tej wojny nie pozostaje bez wpływu na dalsze dzieje Chillon'u, gdzie od tego czasu koncentruje się administracja ziem księstwa Sabaudzkiego.

Następcy Piotra popadają w długi wskutek ustawicznych walk i wielkiej rozrzutności. Szereg dóbr idzie pod zastaw, a między niemi i zamek Chillon (początek XVI wieku). Wielkiemi krokami zbliża się teraz okres walk religijnych. W niedalekiej Genewie klasztor św. Wiktora dostaje się drogą spadku w posiadanie Franciszka Bonivard'a, pochodzącego ze znakomitej, szlacheckiej rodziny francuskiej. On to na stanowisku przeora klasztoru rozwija intensywną działalność, zaznaczającą się w pierwszych latach założeniem słynnej, po dziś dzień istniejącej bibljoteki miejskiej w Genewie. Mieszczaństwo genewskie i jego starania o wyzwolenie się z pod wzrastających wpływów książąt Sabaudzkich znajdują w Bonivardzie gorliwego obrońcę.

Z nadejściem reformacji i przesiąkaniem jej prądów na terenie Genewy — konflikt między młodym przeorem, zwolennikiem reformacji, a księciem Karolem III Sabaudzkim i biskupem Genewy nabiera coraz ostrzejszych form, które doprowadzają do uwięzienia Bonivard'a w roku 1530. Wówczas to na rozkaz księcia przeor został schwytany przez gubernatora Chillon'u, Antoniego de Beaufort i osadzony w lochach zamku, w których, przykuty łańcuchem do jednego z filarów, przebywał zgórą 6 lat. Dziś jeszcze przewodnik, oprowadzający turystów po zamku, pokazuje im pierścień żelazny, do którego umocowane były łańcuchy, wiążące Bonivard'a, oraz ślady na skalnej podłodze lochu, wydeptane w ciągu sześciu lat przez tragicznego „Więźnia Czyllonu". Dopiero w roku 1536 mieszkańcy Genewy, którym przybyli na pomoc Berneńczycy, zdecydowali się na jawną walkę z księciem i oblegli Chillon. W nocy z 28 na 29 marca gubernator opuścił chyłkiem zamek na łodzi, oddając go bez strzału w ręce oblegających.

Berneńczycy, zajmując Chillon, uwolnili z jego lochów Bonivard'a, który, zrzekłszy się godności przeora, pozostał do końca życia wiernym sprzymierzeńcem mieszczaństwa genewskiego. Walka z księciem, zakończona pomyślnie, nie przyniosła jednak Genewie upragnionych swobód. Berno bowiem kazało sobie drogo zapłacić za swą pomoc, zagarniając ziemie wadyjskie, a z niemi i Chillon.

Dokończenie na str. 20-tej.

Zamek od strony jeziora Genewskiego — wgłębi masyw Dents du Midi.



NA SIODLE

PRZEZ PUSZTĘ



Różne są sposoby spędzania wakacyj, ale niewątpliwie do dosyć rzadkich należy przeżycie ich na siodle. A taki właśnie sposób wybrałam sobie, zwabiona ponętną pokusą rajdu konnego przez węgierską pusztę.

Czarujące te wakacje, gdy z grzbietu końskiego obserwowałam niezrównane w swem pięknie widoki i w bezpośredniem zetknięciu się z mnóstwem wrażeń mogłam poczynić różne ciekawe obserwacje, minęły niestety bardzo szybko — prawie tak szybko, jak okres od powzięcia decyzji do pierwszego galopu przez niezmierzone stepy.

Co przedewszystkiem jest uderzające podczas takiej podróży — to nieopisany koloryt węgierskiego krajobrazu. Ale zacznijmy ten film od początku...

Zaczęło się od Kiskunhallas, małego miasteczka, tonącego w koronkach. Tak, dosłownie w koronkach. Proste, niedyplomowane w żadnem liceum koronkarskiem dziewczęta wiejskie wyczarowują tam żmudną pracą przepiękne wzory, w kompozycji często lepsze nawet od słynnych koronek weneckich, czy brukselskich.

A potem przyszły akacje... Szeroką kanwę węgierskiego stepu przetyka co pewien czas łagodna zieleń akacjowych lasków, okalających śnieżno-białe zagrody chłopskie, kryjące skarby sztuki ludowej. Przy chatach schludne podwórka, pod niebem błękitnem, przekreślonem zygzakiem studziennego żórawia.

Spotykana po drodze ludność wiejska odznacza się niezwykłą uprzejmością wobec podróżującego obcokrajowca. Jej piękne zwyczaje, jej pieśni i sztuka otwierają swoje uroki bezpośrednio przed oczyma przybysza, który nie z okien pędzącego pociągu, nie z za szyb limuzyny, lecz bezpośrednio podjeżdża do nich na grzbiecie wiernego konia. To też mnóstwo miałam miłych, a zabawnych przygód, jak np. przygoda z kamizelką.

A było to tak: odpoczywaliśmy w pewnej gospodzie... Wyszłam, ażeby dopilnować napojenia i oporządzenia koni i nie zauważyłam kręcącego się w pobliżu csikosa (pastucha). Zanuciłam jakąś zasłyszaną w drodze węgierską piosenkę i nagle jakby z pod ziemi wyrósł skrzypek, który sprytnie, jak to tylko cyganie potrafią, zaczął grać, podchwytując urywek śpiewanej przezemnie melodji. A wtedy i csikos podszedł bliżej i zawtórował skrzypcom miękim barytonem...

Po tej pierwszej melodji poszły inne, a dokoła zebrali się wieśniacy, wesoło przyklaskując i pokrzykując. Debjut mój w takiem oryginalnem trio wypadł chyba wspaniale, skoro pastuch wiedziony niezrozumiałym dla mnie porywem zdjął kamizelkę i wręczył mi ją z takim wyrazem wdzięczności w oczach, że odmowa z mojej strony byłaby okrucieństwem i obrazą.

Przywiozłam z sobą tę kamizelkę węgierskiego pastucha, z której dowiedziałam się nietylko tego, że ta część garderoby może być symbolem wdzięczności, ale także i tego, że w prostem sercu pastucha koni może mieszkać tyle szczerych i delikatnych uczuć.

Wnętrza węgierskich chat bogato są przyozdobione, głównym zaś motywem folkloru są kwiaty. Ściany izb barwią się przebogatą mozajką kwietną, tworzoną odręcznie z fantazji przez wieśniaczki. Pozatem kwiaty spotyka się na czepkach, na bluzkach, na spódnicach, a te nadobne dziewczęta, które tak chętnie dla przybysza śpiewają i tańczą czardasza, mają chyba kwiaty w sercu.

Ale mówiąc o kwiatach, na pierwszem miejscu wymienić trzeba właśnie pelargonje. Tych kwiatów jest najwięcej. W każdem oknie, w każdej chacie. Są one jakby serdecznym zewem, zapraszającym przybysza do wnętrza. Tylu pelargonij, ile widziałam podczas mojego jeździeckiego rajdu przez pusztę węgierską, nie widziałam dotychczas nigdy i nigdzie.

Tak więc akacje co pewien czas rzucały na mnie swój delikatny cień, ręczne koronki nęciły moje kobiece oczy, a pelargonje witały wszędzie po drodze.

Zieleń akacyj, biel koronek, czerwień pelargonij... Te trzy barwy prowadziły mnie przez przepiękny kraj, węgierskie barwy narodowe.

D. Komrausówna.



Powyżej: Dorota Komrausówna, znana katowicka sportsmenka z csikosem i grajkiem cygańskim.



Czardasz przed warsztatami koronkarskimi w Kiskunhallas.



Spotkanie z csikosem w puszcie.



Wieśniaczki węgierskie w swych malowniczych strojach.

Zdjęcia: Dorota Komrausówna, — Katowice.



Rozwód

★

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

OBRAZEK

Wszystko już było przygotowane do rozwodu. Sprawy z tem związane, jakie miały teraz nastąpić, to już tylko formalności, których pomyślny skutek był zapewniony.

Andrzej Marten wróciwszy do domu, wziął się do przeglądania i pakowania swoich rzeczy. Żony nie było. Minęła godzina, jedna i druga, Wanda nie zjawiała się. Dotychczas w takich godzinach zawsze przebywała w domu. Domyślił się, że to jego przygotowywanie się do opuszczenia domu powstrzymało ją od powrotu. Nic dziwnego, byłoby to może dla niej zbyt przykre.

Jakkolwiek postanowili się rozejść, — Marten zdawał sobie z tego sprawę, że jego postanowienie przechyliło szalę — czynności związane z opuszczeniem wspólnego dotychczas mieszkania, nastręczały więcej przykrości, niżby się to mogło zdawać. Przeżyli wspólnie osiem lat — miłości, nieporozumień, rozczarowań, przyzwyczajania, a obecnie zaczynał coraz silniej działać żal wzajemny do siebie i do losu, że tego nie można było utrzymać. Przez ten czas rzeczy, nawet drobiazgi, wszystko co zawiera wszakże cząstkę osobowości właściciela, a stanowiły akcesorja wspólnego „domu", czegoś co nabierało cechy nierozdzielności.

Marten zajęty był właśnie rozdzielaniem całości.

— Bardzo dobrze Wanda zrobiła, że popołudnie dzisiejsze spędza poza domem — pomyślał.

Znowu nasunęło mu się pytanie: — Ile też było szczęśliwych, miłych dni w tych ośmiu latach? Połowa?... Mniej?... czy więcej?...

Przez otwarte okno doszedł zgrzyt skręcającego na zakręcie tramwaju, a w tej chwili Marten rozeznał wiele innych odgłosów ulicznego ruchu. Samochody, gwar przechodniów, nawoływania sprzedawców, turkot wozów. Dzień powszedni.

— No, dosyć tych rozmyślań. Trzeba się śpieszyć. Najlepiejby było, żebym dzisiaj mógł z tem skończyć.

Podszedł do biurka i otworzywszy szufladę, powyjmował dokumenty, listy, notatki. Przerzucając i układając papiery, natrafił na fotografję żony. Zdziwił się: tak wyraziście spojrzała na niego twarz z fotografji.

— Czy oddać ją Wandzie, czy zatrzymać u siebie. — Trzymał fotografję w ręce. Patrzyły w niego oczy, jakby skądś z daleka i z głębi, niewypowiedziany uśmiech zaznaczał się na młodych wargach.

— Miała wtedy dwadzieścia lat.

Przypomniał sobie naraz wszystko.

Na ulicy znalazł skórzany notesik. Przeglądając go, aby dowiedzieć się, czy nie zawiera adresu właściciela, natrafił na fotografję młodej kobiety. Stwierdził, że twarz jest interesująca. W notesie był również bilet wizytowy z adresem.

Wieczorem, sięgnąwszy ręką do kieszeni, znalazł tam notes, o którym zdołał w ciągu dnia zapomnieć.

— Pójdę jutro — pomyślał. Wyjął fotografję, z której uparcie wpatrywały się w niego oczy nieznanej kobiety.

— Ładna...

Drzwi otworzyła mu tasama młoda osoba, którą już znał z fotografji. Przejęło go niewypowiedzianie miłe wrażenie. Obraz, jaki utworzył sobie w myślach, ożywił się.

Powiedział, co go sprowadza i podał jej notes.

— Jestem panu bardzo wdzięczna, tak, to mój notesik, mam tam wiele ważnych notatek. — Była bardzo zadowolona z odzyskania zguby, poprosiła go do mieszkania. W rozmowie pogłębiło się zainteresowanie, jakie miał dla niej dzięki znalezionej fotografji. Była to dziewczyna pierwszej młodości, samodzielna, o śmiałych przekonaniach.

Gdy się żegnali, oboje mieli ochotę utrzymać przypadkową znajomość.

— Jeżeli pani rzeczywiście jest taka zadowolona, że ten notesik do pani powrócił — powiedział Marten z uśmiechem — w takim razie uważam, że znalazca powinien otrzymać nagrodę.

— Którą byłaby...

— ...właśnie ta fotografja, jaką razem z notesem oddałem.

Marten otrzymał fotografję i od tego dnia widywał się często z Wandą.

Jedno spotkanie... Był to dzień, w którym drzewa osypane delikatną zielonością świeciły się w słońcu drobnolistnemi pękami.

Przechodzili ulicą Królewską, skręcili obok Zachęty, blask słońca roztaczał się na jezdni.

— Przed miesiącem przechodząc tędy, skierowałem się na ul. Czackiego. Tam schyliłem się po drobny przedmiot i jeden szczęśliwy ruch ręki przyniósł mi piękną zmianę w życiu.

— Szczęśliwy ruch ręki?

Określenie wydało jej się czarujące.

„Co mi się właściwie w niej tak podoba?" Marten pomyślał naraz serjo.

Pociągała go jej młodość, jej urok, stosunek do życia i do niego. Cała jej osobowość skłaniała się ku niemu, jak ciepło dnia wiosennego skłaniało się ku miastu. Przepełniało go to poczuciem zadowolenia i łączyło z nią.

— Czy chciałaby pani złączyć swoje życie z mojem?

Stanęli u wylotu Mazowieckiej. Samochody, jeden za drugim, przecinały im drogę. Wmieszali się w ożywiony tłum. Po chwili dopiero mogła mu odpowiedzieć.

— Jeżeli pan nie zadałby mi tego pytania, jabym się o to pana zapytała.

Z bardzo wysoka wiosna staczała się po jasnej ścianie wielopiętrowego gmachu.

— Nie wiem dlaczego zawsze plac Napoleona wywierał na mnie jakieś radosne wrażenie.

Na skraju chodnika stragan kwieciarki lśnił się barwami kwiatów. Zdawało się, jakgdyby kwiaty wesoło śmiały się do przechodniów.

Marten drgnął. Usłyszał, że żona jego otwiera drzwi mieszkania. Za chwilę wejdzie do pokoju. Trzymał jej fotografję, chciał schować, zapóźno, już weszła.

W półzmierzchu wyczuł raczej, niż dojrzał zdziwienie i zakłopotanie na jej twarzy. Znał ją przecież tak dobrze.

— Dobry wieczór. Myślałam...

— Nie spostrzegłem nawet, że już tak późno. Tak mi jakoś prędko czas zeszedł.

— Może zaświecić światło. Już ciemno ci... — urwała, nie chciała powiedzieć „przy pakowaniu rzeczy".

— Nie, nie zaświecaj. Jeszcze dosyć jest jasno na to, ażeby...

Dostrzegła swoją fotografję w jego ręce. Czy o tem myślał? Wanda stała na środku pokoju, prawdziwie niezdecydowana.

— Chodź tutaj, Wando. Chciałem się ciebie o coś zapytać.

Przed chwilą nie wiedziała, dokąd się skierować, co ze sobą zrobić. Z trudnej sytuacji wyprowadziło ją to zaproszenie. Pewnie skierowała się ku niemu.

— O co chciałbyś zapytać?

— Czy musimy się rozejść?

Opanowało ją zupełne zdumienie.

— Czy nasz rozwód jest konieczny? — zapytał ponownie ciepłym, tkliwym głosem, który ją tyle razy już rozbrajał.

— Nie rozumiem...

Przecież nie ona chciała rozwodu, nie ona do tego dążyła. Zgodziła się, gdy jej przedstawił, że to jest już konieczne.

Objął ją i przyciągnął ku sobie. Młodość zafalowała w niej.

— Lepiej będzie, jeżeli pozostaniemy nadal razem — powiedział spokojnie, starając się nie rozczulać.

— Ja także tak myślałam — odpowiedziała.

Zanim ją pocałował, wyjęła mu fotografję z ręki, bojąc się, aby jej nie złamał.

Dokończenie ze str. 18-tej.

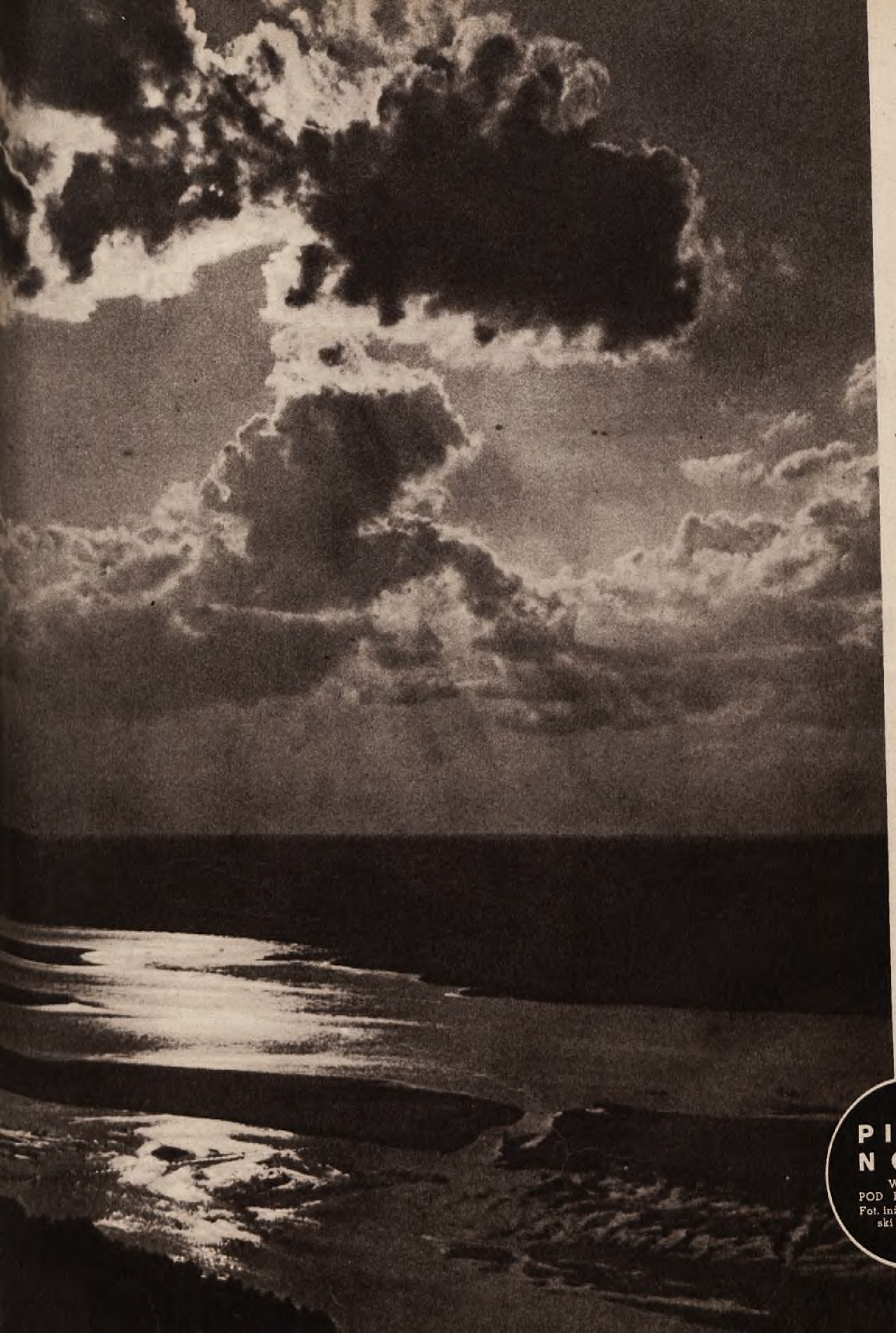
W murach zamku książąt Sabaudzkich osiada teraz ustanowiony przez Berneńczyków kapitan, którego bezwzględne rządy dają się we znaki okolicznej ludności. Rodzące się w tych warunkach, nieprzyjazne dla Berna nastroje stara się wykorzystać książę Emanuel Filibert, którego dziełem jest w r. 1557 powstały spisek, zmierzający do opanowania podstępem warowni czyllońskiej. Zdrada jednego z oficerów załogi zamku udaremnia zamiary spiskowców, a plany rewindykacyjne ks. Emanuela kończą się traktatem w Nyon w r. 1564 zupełnem i trwałem zrzeczeniem się zamku Chillon przez dynastję Sabaudzką.

W drugiej połowie XVII w., gdy purytańskie, poreformackie rządy Berneńczyków przybrały niezwykle ostre formy, giną w murach zamku czyllońskiego dwie kobiety i jeden mężczyzna, oskarżeni o czary i spaleni na stosie. Genewa burzy się coraz bardziej. Gniew jej mieszkańców skierowuje się przedewszystkiem na Chillon, najbliższą siedzibę tyranów. Prądy rewolucyjne, idące z nad brzegów Sekwany, powodują, że w r. 1798 dochodzi do powstania mieszkańców Vevey i Montreux przeciw Berneńczykom i do zdobycia zamku Chillon. Wkrótce potem ziemie wadyjskie przystępują jako XIX kanton do szwajcarskiego państwa związkowego, a zamek czylloński zostaje zamieniony na arsenał i więzienie. Dopiero pod koniec XIX w. władze kantonu Waadt urządzają w jego murach muzeum, które egzystuje do dnia dzisiejszego.

* * *

Chillon przeszedł do literatury światowej dzięki Byron'owi, który przebywając w r 1816 nad brzegami Lemanu napisał tu „Więźnia Czyllonu", przełożonego potem na język polski przez Juljusza Korsaka i Franciszka Morawskiego. Bohater poematu Byrona mało ma wspólnego z historyczną postacią przeora Bonivarda. Przyczyną stał się przemożny wpływ na wyobraźnię poety legend, które na zawsze przywarły do białych murów tragicznego zamku.

Zygmunt Borzęcki (Montreux).



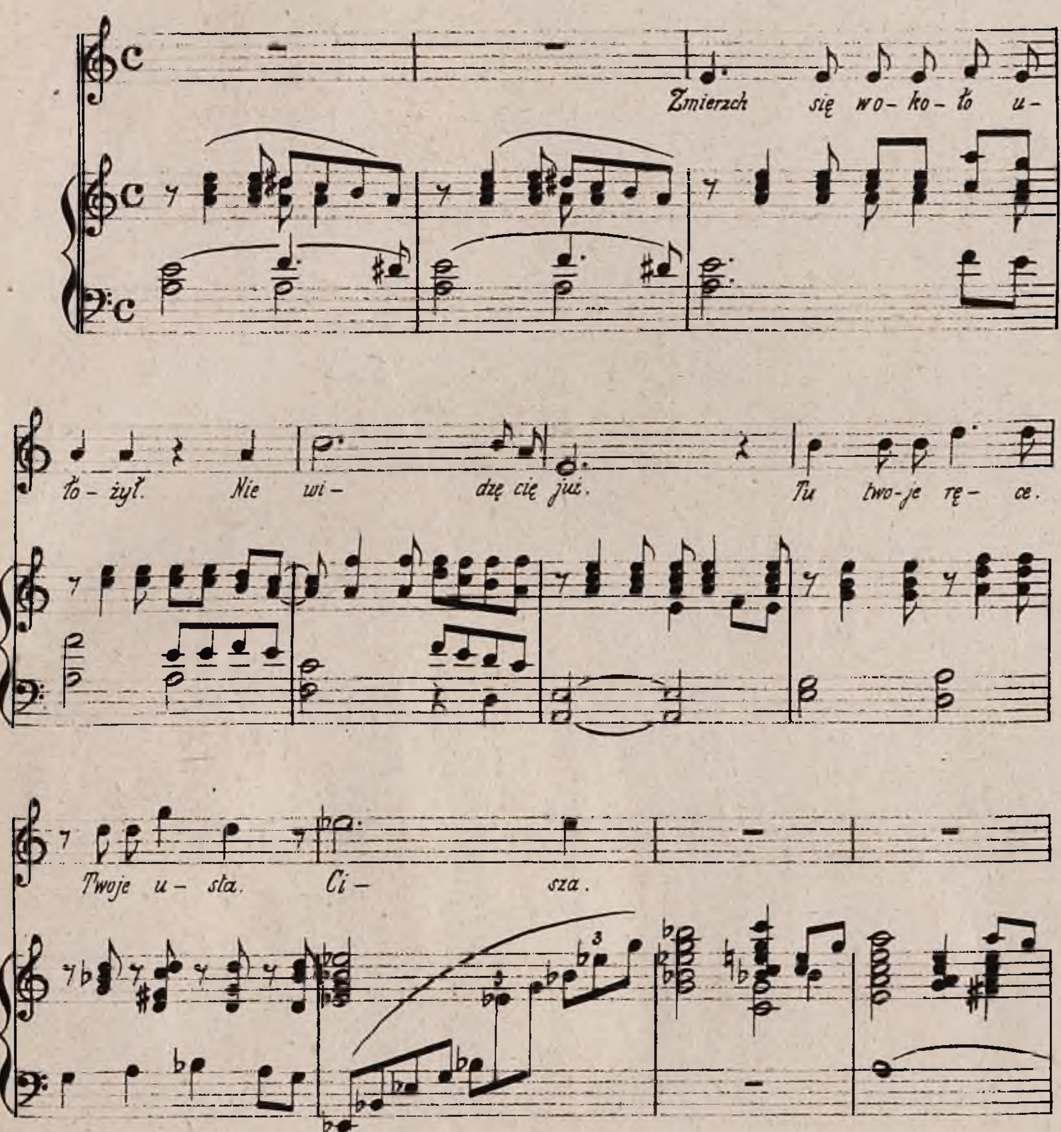
PIEŚ
NOC
WISŁA
POD KAZIMIERZ
Fot. inż. W. Chrom
ski — Kraków.

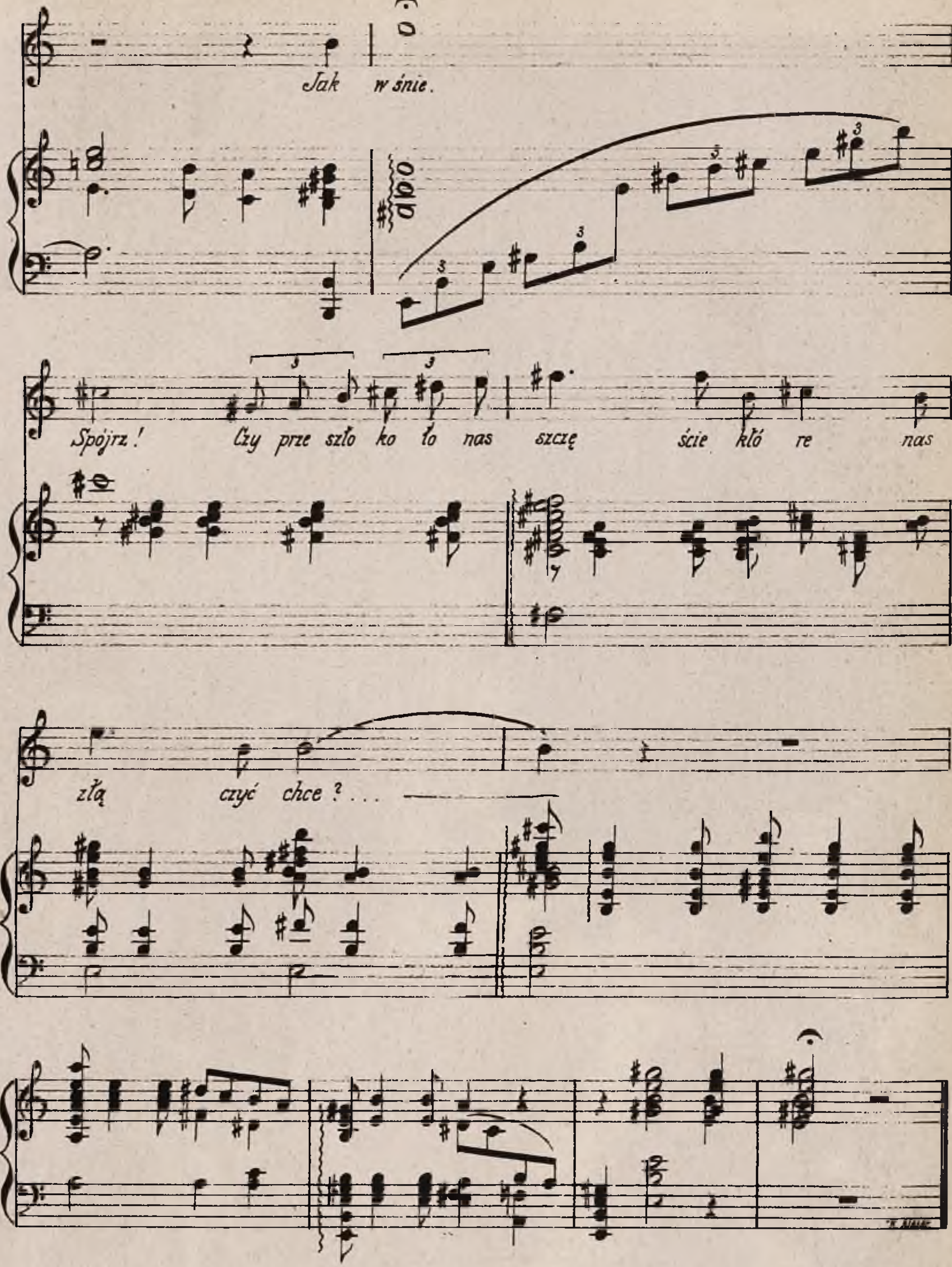
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

Zmierzch

PIOSENKA

MUZYKA i SŁOWA:
LUDWIK MASCHOFF





Królewięta i Mościpanowie

SZKIC

HANNA KŁOSIŃSKA

Czasy „Złotej wolności" — to okres polskiego renesansu. Przyszły nieco później do nas, niż do Włoch i Francji i stworzyły odmienny typ wielkiego pana. Renesansowi książęta włoscy, okrutnicy i zabijacy sławni, byli równocześnie mecenasami sztuki, nierzadko artystami wielkiej miary. Nasze „królewięta" zapisały się na kartach historji z iście renesansowym rozmachem i brawurą, ale nie własnoręcznie, bo za księcia pana, który ciężką miał rękę, podpisywał pan pisarz, czy kapelan. Królewięta wyznawały tę zasadę, co i ów szlachcic z Lubelszczyzny, który odpowiedział jezuicie: „Mój syn jest bogaty. Jeśli będzie potrzebował rozumu, kupi go sobie".

Duma, pycha, ambicja pchała księcia pana z jednego szaleństwa w drugie. W dwóch setkach antenatów miał wprawdzie i po mieczu i po kądzieli, wielkich hetmanów, znakomitych synów Ojczyzny, uczonych humanistów, bohaterów i książąt kościoła, ale on sam — królewię — odziedziczył po nich fantazję, odwagę, zuchwałość, wielkie imię i jeszcze większy majątek. A ponieważ Bóg poskąpił mu zalet umysłu i serca, nie wiedział, co z tem dziedzictwem robić, zwłaszcza, że szaławiłom sprzyjały rozpasane czasy saskie, a potem frywolna i swawolna epoka Stanisława Augusta.

Dawniej polska brawura miała gest wielkopański, wytworny i pełen galanterji. Europa patrzyła oczarowana, jak Jerzy Ossoliński, jadąc do Rzymu, podkowy złote i brylantami wysadzane, gubił na Via Appia, albo przed oknami papieża urządzał polską sannę po gościńcu wysypanym solą.

Za Sasów kielich był sprzętem reprezentacyjnym polskiego szlachcica, a szabla w tylu pełnych chwały wsławiona bitwach, używana była do załatwiania porachunków osobistych.

W barwnym korowodzie, jak w pochodzie karnawałowym, niechże przejdą przed nami, smutnej pamięci, a wesołych obyczajów, królewięta i mościpanowie. Miejsca dla Jaśnie Oświeconych! Zjeżdżali gwarno i tłumno, w setce pojazdów, landar, koczów, poszóstnych karet, w otoczeniu forysiów w ferezjach, hajduków, w kurtach srebrnym galonem obszytych, wśród pokojowców, ubranych na sposób tatarski. Wiedli za sobą tabor służby, koni i całe psiarnie, dwór strojny i bogaty, kobiety piękne i młode.

Skąd inąd najzacniejszy patrjota i jeden z najlepszych obywateli kraju Książe Adam Czartoryski, kochał się w egzotycznym przepychu i w każdą podróż wiódł ze sobą wielbłądy juczne, obwieszone trzęsidłami, a prowadzone przez Turków i Arabów. Można sobie wyobrazić, jakie te karawany robiły olśniewające wrażenie w podolskich miasteczkach, których mieszkańcy nigdy w życiu nie widzieli podobnych zwierząt.

W karnawałowym pochodzie przechodzi przed nami cały hulaszczy i kapiący złotem i klejnotami renesans polski. Idą damy wytworne, w drogocennych brokatach i swawolne fircynelle, szlachcice w karmazynowych kontuszach, w białych atłasowych żupanach, w butach safianowych, z podgolonemi głowami, pod sumiastym wąsem, brzęcząc butnie karabelami. A obok fircyki, z francuskiej mąki, kawalerowie z werżetem na głowie wystrzyżonym, grubo upudrowanym „z lokami, zwiniętemi koło uszu, z włosami schowanemi w czarny jedwabny worek, plecy pod tym workiem upudrowane, frak atłasowy kanarkowy z fioletowymi wyłogami, guziki szklane, a pod szkłem w nich cały zbiór robaków, jakby z gabinetu historji naturalnej: gąsienice, chrabąszcze, motyle, niedźwiadki, żabki i jaszczurki". A do tego spodnie atłasowe, koronkowe żaboty, sprzączki „z brylantowej stali", szpady w kształcie rożenka, wysadzane klejnotami. Idą krokiem zalotnym, tanecznym, pełnym gracji, wyuczonym jeszcze na dworze Ludwika XV, skąd przywieźli do Polski znajomość życia, wdzięk obycia, wykwintną konwersację i nową odmianę miłości kruchej i frywolnej, której przedtem polskie serca nie znały.

Idą wszyscy, a pierwszy hetman Wielki Koronny, Ksawery Branicki, co to niezadowolony z trybunalskich wyroków, zabawił się w polskiego Diogenesa i w biały dzień kazał zaświecić 24 pochodnie, mówiąc „pójdźmy szukać uczciwego człowieka". Z pijaną kompanją rynek lubelski trzy razy obszedł w procesji, przy biciu w bębny i udał się na ratusz, żądając zmiany wyroku.

A za nim Jan Zamojski, co dla zabawy na dziedzińcu zamkowym, na wilka szczuł sfory chartów.

I Stanisław Pieniążek, co kochanki niewierne kazał zakopywać w łożyska mrówek. I Marcin Lubomirski, którego tak czule kochała wojewodzianka Honorata Stępowska, a który był rozbójnikiem, za morderstwo na śmierć skazanym.

Wielmoże i Panowie Szlachta! Tomasz Strzembosz, co to ubijał służbę gołą ręką, a potem rodzinie zabitego złotem i drzewem płacił za sieroctwo. Dwóch synów Jaśnie Pan własną ręką uśmiercił, a córkę szarpnął tak silnie za warkocz, że dziewczyna zmarła w ataku przerażenia. Rej wodzi między nimi pan starosta kaniowski, burda i szaławiła. Obraził się Pan Starosta, że mu J. W. Wojewoda Żaba ośmielił się przyganiać, że żyda ubił buzdyganem. Więc pan starosta ubił żydów trzy fury i panu Żabie do domu nazajutrz odesłał ten makabryczny prezent.

Jeśli na takie wybryki pozwalali sobie mościpanowie, cóż dopiero mówić o „królewiętach". Radziwiłłowie przedewszystkiem słynęli z dumy i fanaberji. Fanaberje ich były równie romantyczne, jak okrutne.

Polskim markizem de Sade był ks. Hieronim, chorąży litewski, żyjący w XVIII stuleciu. Lochy jego zamku przepełnione były zawsze więźniami, z którymi obchodził się okrutnie i bez sądów na śmierć skazywał. Jeden z żołnierzy (a trzymał całą armję) kręcił się często przed oknami pałacu.

— Co tu robisz? — zagadnął go książę. książę.

— Chcę być zawsze na usługach jaśnie oświeconego księcia.

— No to teraz będziesz mi zawsze na widoku, bo każę cię powiesić.

I zamiar swój wykonał.

Najromantyczniejszą z jego fantazji była jednak chęć zostania „samodzielnym" monarchą. Królewię mogło sobie na taką fantazję pozwolić. Sam był bogatszy od króla. Żeby jednak być „prawdziwym" monarchą, trzeba mieć sąsiadów, trzeba mieć „pod bokiem" państwa ościenne. Królewię, jeśli zechce, może sobie i państwo ościenne stworzyć. Cóż łatwiejszego. Poprostu w jednej z swoich wsi Słowacinku zbudował książę zamek obronny i jednego ze swoich dworzan mianował „królem". Akredytował przy jego dworze swojego ambasadora, wszedł z nim w „dyplomatyczne stosunki". Potem jednak przyszedł poważny konflikt polityczny i ks. Hieronim wydał wojnę królowi na Słowacinku. Wojna skończyła się regularną bitwą i zwycięstwem Radziwiłła, który zresztą trzymał na swoim żołdzie kilkutysięczną i wspaniale umundurowaną armję. Wspaniałomyślny jednak „monarcha" przywrócił swemu jeńcowi wolność, a nawet królestwo.

Dominik Radziwiłł dla 300 rumaków urządził w swym majątku stajnie, wykładane srebrem i marmurem, ozdobione jedwabnemi zasłonami i lustrami.

Zaś Marcin Radziwiłł zajmował się wyszukaniem najlepszej religji i znalazł ją w judaiźmie. Dwór jego składał się wyłącznie z żydów. Sam Jaśnie Oświecony posługiwał się tylko językiem hebrajskim. W piątek urządzał szabas i w gronie współwyznawców spożywał lokszyn i szczupaki. Szabasowe modlitwy odprawiał w żydowskim obrzędowym stroju i z orderem... św. Huberta na szyi.

Książę „Panie Kochanku" jest do dziś postacią z wodewilu, dzięki sławie swych szaleństw, jaśnie pańskich fanaberyj i kaprysów. Może niezupełnie słusznie. Nie jest to postać z komedji. Rubacha i szaławiła, jak inni, ale zacniejszy od innych, pod płochymi pozorami i atłasowym kontuszem, kryjący gorące, patrjotyczne serce polskie. Wszak zasługą i sumptem księcia Panie Kochanku stanęła... konfederacja barska. Był jednym z pierwszych, gdy szło o służbę Ojczyźnie, tak, jak był jednym z pierwszych przy kielichu.

Jego fantazje wypływały z pychy wielmoży, ale zarazem z ducha romantyka. Bo ten nieokrzesany niedźwiedź litewski był jednak romantykiem. I to wcale oczytanym, bo że czytał Jana Jakuba Russa, że czytał utwór Bernarda de Saint Pierre p. t. „Paweł i Wirginia" — świadczy to, że wśród swego otoczenia gorąco agitował za powrotem na łono natury. Bernardin de Saint Pierre kochał się ni mniej ni więcej tylko w rozwiedzionej żonie księcia Panie Kochanku, neé princesse Lubomirska i ona to podobno była prototypem owej Wirginji, pędzącej na odludnej wyspie sielskie życie z ukochanym człowiekiem. I nie wiadomo, co kierowało Księciem Panie Kochanku, czy sentyment dla niewiernej żony, czy kaprys fantasty, dość, że założył sobie Albę, jak kiedyś Marja Antonina Hameau, i tam na „łonie natury" wypoczywał po troskach beztroskiego żywota. Alba była to kolonja letnia, gdzie książę Radziwiłł z rodziną, przyjaciółmi i okoliczną szlachtą spędzał okres letni. Wieś składała się z 180 domów wieśniaczych. „Koloniści", którzy zjeżdżali się tu już w kwietniu, musieli uprawiać ogród i ziemię. Wójtem wsi był sam książę. — „Włościanie" nosili przepisany strój. A czego tam nie było? Młyny, pasieki, bażanciarnie, oranżerje, zwierzyniec z danielami, jeleniami, reniferami i żubrami, a nawet teatr. Sielanka trwała tak długo, aż sprawy Rzeczypospolitej nie zmuszały księcia miecznika do wyjazdu do Warszawy. Dumny, ambitny magnat, nie chciał nigdy uznać króla „w szlachetce". Tembardziej, że ten król, nie w stroju polskim, ale hiszpańskim się koronował, z aktu państwowego czyniąc maskaradę. Nigdy Radziwiłł nie przebaczył Poniatowskiemu, że przed koronacją, w asyście pięknych a płochych kobiet, w sypialni swojej przed lustrem przymierzał strój koronacyjny, czyniąc przytem dygi i grymasy. I wybrał strój, który nie majestatowi jego odpowiadał, ale damom najwięcej się spodobał. Więc na znak protestu wybrał się Książę Panie Kochanku na audjencję do króla Stasia w kubraku, złożonym z samych łat. A kiedy wywołał takim strojem zgorszenie Jego Królewskiej Mości, wytłumaczył:

— Wybacz Najjaśniejszy Panie to przybranie, ale ten kontusz mocno sfatygowany, bo już na XVI-tym wojewodzie litewskim. Stare łachmany, ale nie każdemu się w nie stroić.

Król jednak przez całe swoje panowanie układał miny i dygi przed lustrem, w asyście najpiękniejszych kobiet, na co ze zgorszeniem patrzył kraj cały. Płochość, swawola, kokieterja zakryły zasługi Stanisława Augusta.

Panowie szlachta hulali dalej! Tańczyła Rzeczypospolita!

A na odmianę wiódł tego poloneza sekretarz wielki koronny, króla kuzyn i ulubieniec, Michał Granowski. Pół nagi, jak satyr, otoczony gromadą równie egzotycznie rozebranych szaleńców, ciągnął przez ulice miast, na brykach z bekami wina. I jak Bachus, czerpiąc wino srebrną chochlą, napełniał nią kielichy. A kielichy te były ogromnej objętości, większy mieścił w sobie pięć garncy wina i nazywano go „Orłem". mniejszy, dlatego „kaczką" zwany, mieścił tylko trzy garnce. Tymi oto kielichami, kompanja pijana spełniała toasty na pohybel Rzeczypospolitej i tej złotej wolności szlacheckiej, którą przecież mościpanowie i królewięta najwięcej miłowali.

Rzewuski, marszałek wielki koronny, pół dnia tracił na układanie fryzury, pół mu tylko na sprawy państwa zostawało!

Zaś dla odmiany Eligjusz Prażmowski, figura arcykomiczna, żywcem przeniesiona z dworów francuskich do Polski, zafundował sobie z Francuzem Ponsetem... wylęgarnię kurcząt. Zbudowali ogromny gmach, zakupili miljony jaj, rozpalili do czerwoności piece. Jaja się w cieple zatęchły, — 200.000 złotych djabli wzięli, a fetor rozszedł się po kraju! Tenże sam Prażmowski prowadził osobliwą gospodarkę. Zboże kazał młócić bydłem, przepędzając je po snopkach. Na jego usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że ślicznie lewą ręką grywał na skrzypcach i z wdziękiem tańczył menueta, razem z żoną, którą poddawał istnym torturom. Kazał się jej sznurować w gorsety à la Pompadour, tak silnie, aby w pasie była tak cienka, iżby ją można ręką objąć. W peruce, w minjaturowych trzewikach, od których bolały ją uciśnięte nogi, w rogówce i gorsecie à la Pompadour, ubielona blejweisem i upstrzona muszkami, tańczyła pani Prażmowska menueta z panem mężem. Ostatni to już był menuet, jaki młode polskie pokolenie oglądało, bo czasy szły inne, jeszcze bardziej szalone, ale takie, w których, jak w ogniu hartowały się charaktery i serca.

Jednak i tym czasom nie zbrakło fantastów i szaleńców, kierujących się w życiu tylko własnym kaprysem.

Oto oni, już ostatni z ostatnich przedstawiciele typu polskiego zawadjaki i awanturnika, tylko, że z biegiem lat zmienili się nieco na lepsze, przybyło im rysów rycerskich i szlachetnych. Mówić o Emirze Rzewuskim, złoto-brodym atamanie Rewucha, któremu 30 plemion beduinów wierność ślubowało, uważam prawie za zbyteczne. Postać to najbardziej znana, przez wiele pokoleń serdecznie kochana, a bodaj najbardziej romantyczna. Polski Don Kichot i polski Farys w jednej osobie, przebiegł śladem swych marzeń cały Wschód i Zachód świata. Zostało po nim setki legend, ballad, opowieści. Postać atamana Rewuchy do dziś emanuje osobliwy czar poezji i sentymentu, bohaterstwa i lekkomyślności, jakim za życia emir złotowłosy czarował swoich współczesnych. Wielu miał poetów, wielu jeszcze mieć będzie.

Innym jest hr. Stanisław Habdank-Skarbek, fundator lwowskiego teatru. Przegrał i przekochał miljonową fortunę, a potem poganiał woły na sprzedaż do Wiednia i czynił to z pośpiechem, aby się nie spóźnić na wieczór do Metternicha. Nie był awanturnikiem. Był tylko oryginałem w wysokim stylu. Podróżował wiele i chętnie, znały go wszystkie trakty Europy, ale większość drogi przesypiał. Powóz, którym jeździł kazał przerobić na łóżko, tak, że do hotelu wchodził w szlafroku i pantoflach. Na eksploatacji rudy żelaznej zarobił miljony. Pieniądze przychodziły do niego same, miał przecież w herbie dewizę Habdanków „Idź złoto do złota". Żona przyszła również. Była nią jedna z najpiękniejszych kobiet swego czasu Zofja Jabłonowska. Rozwiodła się z nim i poślubiła Aleksandra Fredrę. Nie rozpaczał. Na pocieszenie jednak postawił we Lwowie miljonowym sumptem teatr. Na placu Castrum zasiadał w poręczowem krześle i stąd dyrygował tłumem fur i robotników. A kiedy w 1843 roku teatr był gotów, hr. Skarbek wybrał na premjerę „Śluby panieńskie" drugiego męża swej żony. Czy to był gest wielkopański, czy tylko słuszna ocena talentu?

Po Skarbku już tylko chyba — Juljusz Dzieduszycki, pan na Jarczowcach, rewolucjonista i żołnierz gwardji narodowej, polityk, fantasta, niedokończony poeta, prawdziwy i gorący patrjota, wiecznie zakochany w kobietach, jeszcze więcej w koniach, których trzymał kilka setek w pałacowych stajniach. W 1851 roku „Najjaśniejszy Pan" zaszczycił swoją obecnością Jarczowce. Widocznie jednak romantyczny szaławiła nie bardzo sobie cenił zaszczyt „najjaśniejszy", bo kiedy w 1854 r. miał przyjechać do Jarczowiec arcyksiążę Karol Ludwik, dziedzic wydał furmanowi nieznającemu niemieckiego języka, taką dyspozycję.

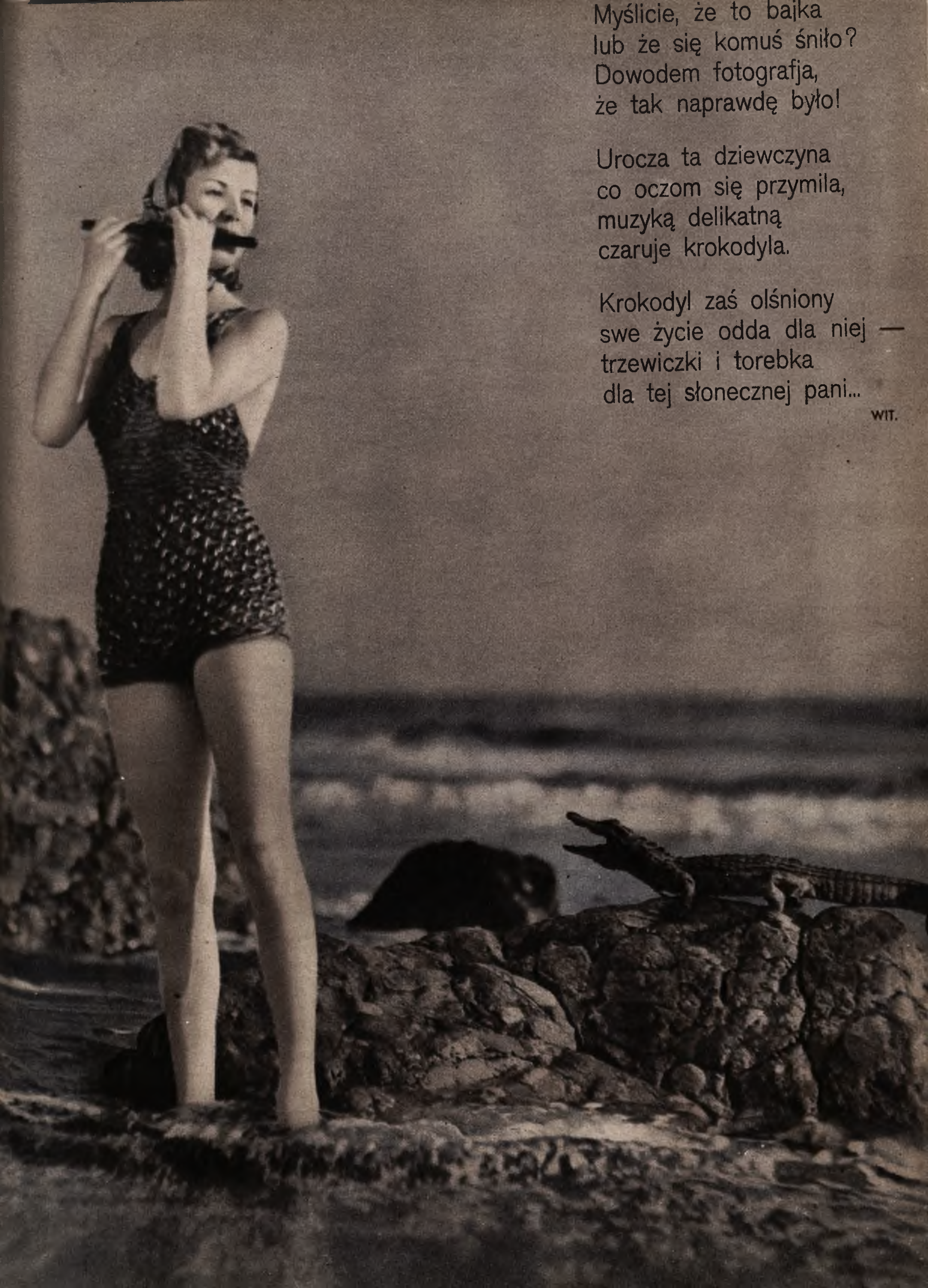
— Jedź prędko. Gdy ci powiedzą: „Langsam" — to jeszcze prędzej, gdy: „Schnell", to powoli.

Wobec tego arcyksiążę przyjechał do Jarczowic w tempie oszałamiającem. Przerażony napróżno krzyczał: langsam, langsam, woźnica pomny na rozkaz, zacinał batem czwórkę pełnokrwistych koni.

Ostatni to był żart naprawdę wielkopański, ostatni wyskok pańskiej fanaberji.

Nutę najczystszej poezji wniosła w życie szalonego dziedzica, pani Juljuszowa, złotowłosa, smukła Sophinette, Zofja Bobrówna, córka ślicznej Joanny, ta sama, której pan Słowacki pomadki przynosił, ta sama, do której mówił: „Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi, bo kiedy Zośka do Ojczyzny wróci, to każdy kwiatek powie

Dokończenie na str. 31-ej.



Myślicie, że to bajka
lub że się komuś śniło?
Dowodem fotografja,
że tak naprawdę było!

Urocza ta dziewczyna
co oczom się przymila,
muzyką delikatną
czaruje krokodyla.

Krokodyl zaś olśniony
swe życie odda dla niej —
trzewiczki i torebka
dla tej słonecznej pani...

WIT.

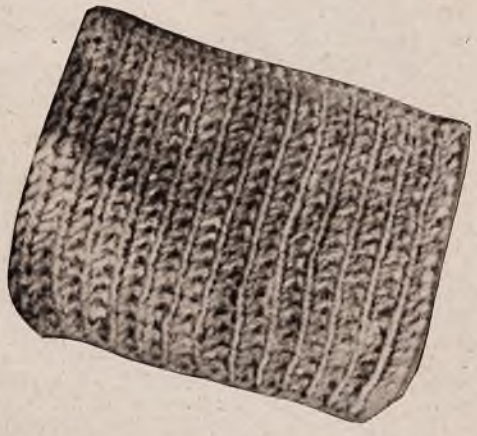
ZROBIĘ TO SAMA

★

Żakiecik NA DRUTACH



Włóczkowy żakiecik, którego opis wykonania podajemy obok.



Próbka ściegu, którym wykonujemy żakiecik.

Przed przystąpieniem do wykonania, reprodukowanego tu żakiecika na drutach, należy wyćwiczyć na próbce następujący ścieg:

Prawa strona roboty: 1 oczko gładkie, 1 oczko nawywrót.

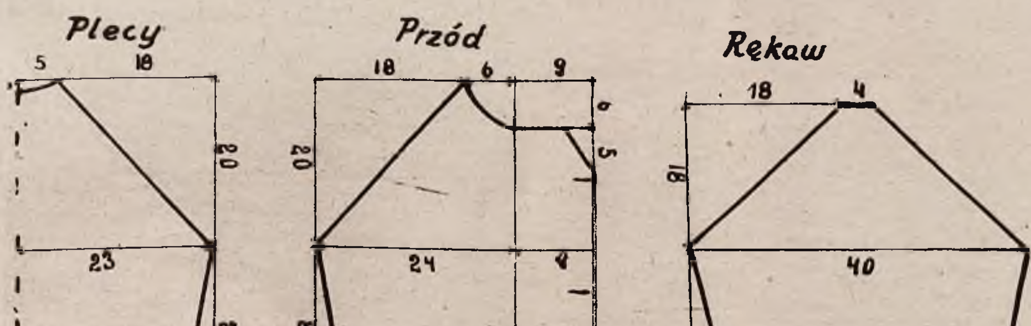
Lewa strona roboty: wszystkie oczka gładkie.

Żakiecik ma krój raglanowy, który trzeba na żądaną miarę wyrysować i wykroić wedle podanego rysunku. Przody nie są jednakowej wielkości. Strona prawa zachodzi znacznie na lewą, gdyż zapięcie żakiecika znajduje się na boku.

Przy wełnie średniej grubości i średnich wymiarach figury potrzeba zwykle 105 oczek na przody (z dodaniem odpowiedniej ilości na poszerzoną prawą stronę), 150 oczek na plecy i po 60 oczek na rękawy. Na kołnierz potrzeba 105 oczek. Jest to wielkość obwodu wycięcia żakietu. Przy robocie kołnierzyka, przy końcu każdego rzędka, dodaje się po jednem oczku tak długo, aż osiągnie się 10 cm szerokości. Przed przyszyciem kołnierza do żakiecika, szydełkuje się naokoło 3 rzędy półsłupków.

Przy wykonywaniu prawego przodu trzeba zrobić dziurki do zapinania guzików.

Zeszywając poszczególne części żakietu krytym ściegiem z lewej strony, dobrze jest zwilżyć je i potem zaprasować, aby zupełnie się połączyły.



Schemat kroju żakiecika — plecy, przód i rękaw.

Życie

TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

POKAZ „PANI I JEJ PIES" W WARSZAWSKIM SIMIE







Doroczne konkursy pod nazwą „Pani i jej pies", urządzane w ciągu września przez popularną kawiarnię warszawską SIM, stały się ulubioną imprezą życia towarzyskiego stolicy i stanowią niejako wstęp do wielkiego sezonu jesiennego. — Tegoroczny konkurs odbył się przy licznym udziale stołecznego high-life'u i udowodnił wzrost zainteresowania tego rodzaju imprezami. Szereg pań i ich czworonożnych pupilów otrzymało cenne nagrody. — Zamieszczamy zdjęcia trzech laureatek, któremi są (od lewej): p. Marja Kniaziołucka z czarno-białym dogiem. p. Miła Kołpikówna z seterem i p. Chalier z trójką bedlingtonów. — Fot. „As".

Z TEATRU W GRODNIE



Teatr Miejski w Grodnie rozpoczął sezon komedją Fredry „Damy i Huzary", w której wyróżnił się w roli majora p. St. Bryliński.

JUBILEUSZ M. KOCHANOWSKIEGO



Wybitny muzyk wileński dyr. Mieczysław Kochanowski obchodził jubileusz 30-lecia pracy muzycznej i 15-lecia kierownictwa orkiestry zdrojowej w Krynicy. — Na zdjęciu: Jubilat w otoczeniu wykonawców koncertu jubileuszowego i gości.

W SŁOŃCU RIWIERY



Artystka scen warszawskich p. Kazimiera Skalska przesyła z słonecznego Juan les Pins na Riwierze pozdrowienia dla Czytelników „Asa".



W sezonie jesiennym największe zainteresowanie świata kobiecego w dziedzinie mody skupia się koło pokazów futrzarskich, co ma miejsce szczególnie w krajach północnych, których ostre zimy zmuszają do zaopatrywania się w ciepłe okrycia. A cóż można sobie wyobrazić przytulniejszego i lżejszego od pięknego płaszcza czy żakietu z puszystych futer? A ponieważ wybór futra, będącego inwestycją kosztowną, wymaga dłuższego namysłu i rozwagi, dziś już — choć słońce wrześniowe łudzi nas jeszcze pozorami lata — rozejrzeć się trzeba w nowościach, jakie nam moda paryska przynosi w tej dziedzinie.

Zanim pomyślimy o ciepłych, długich okryciach, przeznaczonych na zimę, musimy zaopatrzeć się w lżejsze futra przejściowe, specjalnie odpowiednie na sezon jesienny. Jest w nich wybór ogromny, gdyż wielkie firmy futrzarskie w Paryżu, w ustawicznem poszukiwaniu nowości, znajdują coraz to nowe sposoby zastosowania najrozmaitszych skórek, tak jako przybrań płaszczy i kostjumów, jak też i całkowicie futrzanych okryć krótkich, lub trzyćwierciowych.

Jako przybrania, prócz lisów — zawsze eleganckich, lecz nieco już opatrzonych — stosuje się w tym roku rysie, których piękny, puszysty i długi włos specjalnie efektownie wygląda przy ciemniejszej, gładkiej wełnie. Powróciły do łask również lisy białe, nietylko w formie wieczorowych cape'ów, ale także jako kołnierze i mankiety przy czarnych, popołudniowych kostjumach. Niemniej „en vogue" jest obecnie futro z małp, używane jako przybranie kostjumów i kapeluszy jesiennych.

Przejściowe żakiety futrzane wykazują rozmaitość materjału i nowe, niezwykle staranne opracowanie. Zestawia się skórki w pasy pionowe, podczas gdy rękawy, często bardzo obfite i bufiaste, traktowane są w kierunku horyzontalnym. Dla większej lekkości, naszywa się skórki często na żorżecie lub miękim aksamicie jedwabnym „panne". Do takiego opracowania używane są szczególnie nurki, popielice, krety, selskiny czarne i złocistobrązowe („mordoré), a także — co jest ostatnią nowością — zorinosy, miękie brązowe z jaśniejszym pasem przez grzbiet, podobne nieco do wydry.

Na lewo: Obcisłe żakiety z krótko strzyżonych futer utrzymują się nadal obok szerokich okryć trzyćwierciowych.



Modne są bardzo kapelusze, przybrane futrem lub piórami.

Wśród trzyćwierciowych żakietów z najmodniejszych futer długowłosych, wyróżniają się srebrne lisy białe, o długim, puszystym białym włosie z czarnem zakończeniem.

Nieco cięższe i masywne skunksy układa się na rękawach w linje spiralne, co wygląda oryginalnie i nieco lżej.

Wśród tańszych skórek coraz bardziej noszone są kozy mongolskie i zwykłe, dość krótko strzyżone baranki białe i popielate, przy odpowiedniem opracowaniu i w zestawieniu z suknem lub zamszem, dające bardzo ładne i nowe efekty. Wogóle można zaryzykować twierdzenie, że o elegancji okrycia futrzanego nie decyduje dziś to, z czego jest zrobione, lecz jak jest zrobione. Robota kuśnierska stanęła dziś pod względem precyzji i misterności narówni z robotą krawca i artysty-mozajikarza. Najdroższe, najszla-

JESIEŃ POD ZNAKIEM FUTRA

Na prawo: Szeroki kołnierz i krótkie rękawy z czarnych lisów tworzą piękną ozdobę tego popołudniowego „ensemble'u". — Dalej: Na bieżący sezon jesienny moda przewiduje pelerynki futrzane, noszone do wełnianych kostjumów i sukien spacerowych.
Zdjęcia: d'Ora — Paryż.

Poniżej: Wysoka główka i podgięte rondo, odsłaniające ztyłu całą niemal fryzurę, to typowe cechy kapelusza, noszonego do jesiennych futer.





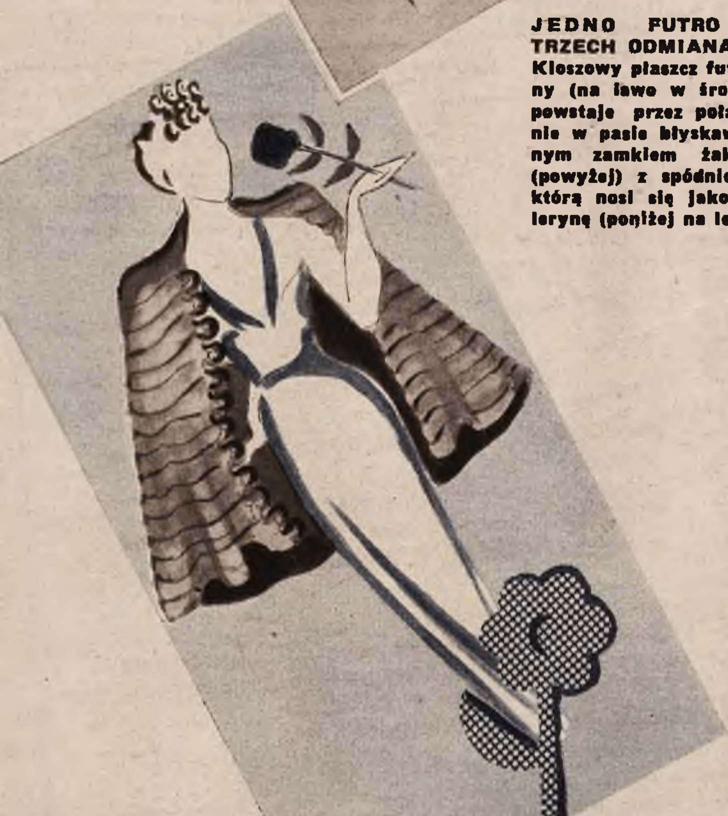


chetniejsze skóry kraje się dziś i tnie na drobne kostki lub wąskie paski, aby tylko uzyskać nowe subtelne efekty, aby uniknąć wszelkiej masywności i ciężkiego wyglądu całości.

Okrycie futrzane — to jeszcze nie wszystko. Moda 1938/9 ofiarowuje eleganckiej pani również i szereg akcesorjów futrzanych,







JEDNO FUTRO W TRZECH ODMIANACH. Kloszowy płaszcz futrzany (na lewo w środku) powstaje przez połączenie w pasie błyskawicznym zamkiem żakietu (powyżej) z spódniczką, którą nosi się jako pelerynę (poniżej na lewo).

Rysunki wykonała dla „ASA" EWA LEO

a przedewszystkiem zarękawek, którego tak długo była pozbawiona. Bo w porównaniu z dzisiejszemi te nieliczne małe, okrągłe zarękawki, noszone tu i ówdzie w ostatnich latach, nie zasługują wogóle na tę nazwę. W tym roku będziemy nosić „mufki" prawdziwe: duże, czasem wprost olbrzymie, chętnie w formie okrągłej, ułożone ze spiralnie zestawionego pasa futrzanego, tworzącego jakby ślimacznicę. Do całości wymagany jest też zgrabny toczek futrzany, często w formie wysokiej kozackiej „papachy", lub też kapelusz przybrany futrem, mały, noszony z fantazją „na jedno oko", z tyłu odsłaniający wysoko fryzurę.

A teraz parę „szlagierów", zauważonych na ostatnich pokazach futrzarskich: wieczorowy żakiet z białych gronostajów, przybrany kołnierzem i baskiną z puszystych białych lisów polarnych.

Wykonany przez Wortha długi płaszcz z rysiów, ciętych w pasy, ułożone pionowo.

Oryginalny pomysł, przedstawiony obok Czytelniczkom „Asa" — model futra, dający możliwość trzech odmian: pierwsza — to całkowity płaszcz, wcięty w pasie, silnie kloszowy u dołu; druga — krótki obcisły żakiecik, powstały z poprzedniego przez odjęcie dolnej połowy okrycia, przymocowanej zapomocą zamku błyskawicznego; trzecia odmiana — to elegancka peleryna z futra, nie będąca niczem innem, jak właśnie tym odpiętym „dołem".

Lady Like



Na prawo: Szerokie obkłady z niebieskich lisów na rękawach żakietu podkreślają smukłość bioder i nóg.

Poniżej: Przeciwniczkom wysokich kapeluszy przynosi moda szereg odmian beretów i biretów z filcu lub aksamitu.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA RAKOWA. (Przepis na życzenie czytel. powtarzamy). 12—15 żywych raków (uwaga! bo nieżywe mogą być trujące) wymywa się szczoteczką i płucze kilka razy w letniej wodzie, następnie wrzuca się je na wrzący osolony rosół nagotowany z kości i jarzyn, między któremi powinna się znajdować wiązka kopru i łyżeczka kminku. Po 10 minutach ciągłego gotowania wyjmuje się raki, a rosół przecedza i zachowuje do późniejszego użytku. Raki rozbiera się w ten sposób: nożykiem obcina się brzegi szyjek i szczypców i ostrożnie wyjmuje z nich mięso. W mięsie z szyjki znajduje się czarne jelitko, które się odrzuca. Środkowe skorupki oczyszcza się z wnętrzności i przechowuje do nadziewania. Tłuszcz znajdujący się w środkowej części, a który jest bardzo smaczny, tłucze się wraz z wszystkiemi drobnemi skorupkami na miazgę w moździerzu, dodaje łyżkę deserowego masła i smaży przez pół godziny na wolnym ogniu, poczem zalewa się rosołem poprzednio odstawionym. Po zagotowaniu przecedza się przez gęste sitko lub płótno, przestudza, zbiera z wierzchu osadzający się tłuszcz tz. masło rakowe do filiżanki z zimną wodą i odstawia, aby zastygło. Zupę podprawia się 1/4 litrem śmietany, rozbitej łyżeczką mąki, zagotowuje wraz z nadziewanemi skorupkami i wylewa do wazy, do której włożono mięso wyjęte z szczypców i szyjek. **Nadzianka do skorupek:** Łyżkę masła rakowego uciera się z całem jajem, dodaje troszkę siekanego kopru i soli, miesza z kilku łyżkami ugotowanego na sypko ryżu lub kaszki krakowskiej, napełnia tą nadzianką skorupki i wkłada je do gotującej się zupy na dwie minuty. Resztę masła rakowego dodaje się do gorącej zupy i lekko z nią miesza. W miejsce śmietany można zupę podprawić rumianą zasmażką z masła rakowego, oraz bardzo silnym rosołem lub buljonem. Do takiej zupy nie stosują się już nadziewane ryżem skorupki, lecz groszek ptysiowy lub usmażony z paru jaj grzybek.

PRZYSTAWKA Z RESZTEK PIECZENI CIELĘCEJ. Łyżkę masła i tyleż mąki zasmaża się na jasno-złoty kolor, zalewa paru łyżkami śmietanki lub pełnego mleka i miesza na ogniu na gęstą papkę. Kawałek pieczeni cielęcej przemiele się dwa razy i miesza z łyżeczką tartej cebulki usmażonej na maśle, oraz z podanym powyżej beszamelem, dodaje 1 całe jajo i 1 żółtko, szczyptę soli i pieprzu, miesza na jednolitą masę, dodając w razie gdyby masa była za wolna, parę łyżek cienko osianej tartej bułki. Z masy tej formuje się małe krokietki i osmaża je na rumiano w rozpalonem maśle. Na każdy krokiecik kładzie się krążek masła sardelowego lub ziołowego. Masło ziołowe sporządza się z siekanych ziół kuchennych jak pietruszki, kopru, szczypiorku, selera i t. p., następnie miesza z łyżką masła deserowego. Po przetarciu masła przez sito, zamraża się je i formuje w krążki. Powyżej opisaną masą mięsną, możnaby również napełniać naleśniki, zwijać je w rulony (dwa przeciwległe brzegi naleśnika należy naprzód zawinąć do środka), opanierować w jajku i bułeczce, potem obsmażać, przetaczając je na patelce po wrzącem maśle; każdy rulonik ozdabia się gałązką zielonej pietruszki, przeciągniętej wpierw przez rozpalone masło.

PIECZEŃ BARANIA NA DZIKO. Dyszek barani okrawa się ze zbytniego tłuszczu, parzy wrzącą wodą, układa w kamiennem naczyniu i zalewa bajcem nagotowanym ze słabego octu, korzeni, paru talarków cebuli i garstki jałowcu. Bajc należy zupełnie ostudzić i potem dopiero zalać mięso tak, aby było nim nakryte. Mięso przyłożone talerzem i obciążone, stawia się w chłodzie na 4—8 dni, w którym to czasie należy je codziennie odwracać, aby równomiernie kruszało. Przed użyciem wyjmuje się mięso z bajcu, obmywa je w letniej wodzie obsusza ściereczką, szpikuje gęsto słoniną, soli i odstawia na godzinę, poczem opieka się je na rozpalonem maśle z wszystkich stron, układa na brytwance i piecze przez $1\frac{1}{2}$—2 godzin, zależnie od wielkości dyszka, przyczem należy pieczeń pilnie polewać masłem i sokiem wypływającym, wystrzegając się dotykania jej widelcem, aby pozostała soczysta. Na dopieczeniu polewa się pieczeń szklanką kwaśnej śmietany, lecz łyżką wśród pieczenia, nie wylewając śmietany całej odrazu; wkońcu poprusza się mięso mąką i zapieka na niej skórkę. Pieczeń wyjętą z sosu, przestudza się trochę przed pokrajaniem jej w plastry. Sos przefasowany przez durszlag podaje się osobno w sosjerce. Jako jarzynę podaje się czerwoną kapustę lub buraczki; także brusznice i makaron podać można jako dodatek.

GRUSZKI Z KREMEM. Ołupane, przekrojone na połówki i wydrążone gruszki gotuje się w słabo ocukrzonej wodzie z odrobiną sody oczyszczonej. Osączone z wody gruszki układa się na szklanej misce a po zupełnem ostudzeniu napełnia się je marmoladą morelową i polewa kremem. Na krem ubija się 4 żółtka z szklanką mleka, dodaje łyżkę lub dwie cukru i kawałek wanilji, potem wstawia się w większe naczynie z gorącą wodą i ubija na ogniu, aż zgęstnieje. Do gorącego kremu dodaje się tęgą pianę z 4 białek, miesza, wylewa na gruszki i zastudza na lodzie.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Utrzymanie kryształów w należytym stanie jest poważną troską pań domu, które szczególnie dbają o wygląd zewnętrzny tych dekoracyjnych przedmiotów. Aby zachować połysk kryształów, musi się je co pewien czas zmywać i to przy pomocy cytryny, której sok powoduje, iż kryształ nabiera nowego życia, migocąc blaskiem iskier w każdym załomie wzoru.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 40 — **Wrzesień** — 30 dni



NIEDZIELA 25 Władysława
Krupnik. Krokietki mięsne. Gęś pieczona z duszoną kapustą. Strudel z jabłkami.
Kolacja: Zimny drób z sałatą.

PONIEDZ. 26 Cypriana, Ewar
Zupa z zielonego groszku. Płatki z kapustą. Pieczeń barania na dziko z makaronem i brusznicami. Kruchy placek z owocami.
Kolacja: Rizotto na podróbkach z gęsi.

WTOREK 27 Kosmy i Dam.
Barszcz na rosole z fasolką. Gołąbki z kapusty i ryżu. Paprykarz cielęcy z kluseczkami. Kompot mieszany.
Kolacja: Omlety z szynką.

ŚRODA 28 Wacława kr.
Rosół z kaszką krajaną. Sztuka mięsa z ostrym sosem. Kuropatwy pieczone z buraczkami. Jabłka w cieście.
Kolacja: Jaja faszerowane.

CZWARTEK 29 Michała Arch.
Zupa szczawiowa z ryżem. Marchewka duszona z grzankami. Kaczka pieczona z czerwoną kapustą. Naleśniki z serem.
Kolacja: Galaretka z nóżek wieprzowych.

PIĄTEK 30 Jana z Dukli
Zupa cytrynowa. Kotlety jarzynowe. Karp na słodko z bułkowym knedlem. Buchtle z konfiturami.
Kolacja: Wędzone ryby bałtyckie.

Październik



SOBOTA 1 Remigiusza
Rosół z lanem ciastem. Hachée z mięsa z sadzonem jajem. Zrazy siekane z kaszą. Kompot.
Kolacja: Twarde jaja w sosie śmietanowym.

HOCKI-KLOCKI

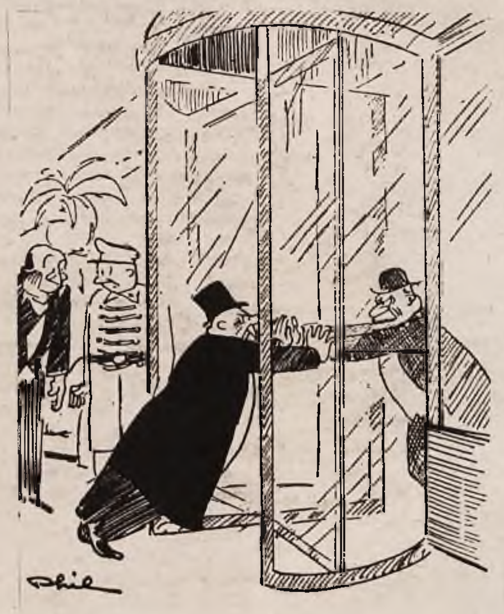
SPORT W KOŁYSCE.



— Mamusiu, nie pozwól, aby nas ten „gruchot" wyprzedził...

(„Ric et Rac").

KŁÓTNIA GOŚCI HOTELOWYCH.



Portjer do dyrektora hotelu: — Nie chcą ustąpić, panie dyrektorze! Od rana goście wchodzą przez kuchnię...

(„Ric et Rac").

PRAKTYCZNI TURYŚCI.



— Marysiu! Czy nasza bielizna już wyschła? Dojeżdżamy do miasta...

(„Ric et Rac").

Rozwiązania z Nru 38-go.

GRZĄDKA KWIATÓW.

Jedną czwartą odległości AB oznaczamy AD. Następnie należy wyznaczyć DE i AF — każdy odcinek równy $1/4$ BC. Teraz jeśli wyznaczymy G w tej samej odległości od E, w jakiej D jest od F. wtedy AG wyznacza żądaną szerokość ścieżki ogrodowej.

DRÓB W OKNIE.

Indyk ważył $6^3/_8$ kg, gęś $5^5/_{16}$, kaczka $4^1/_4$, kura $3^3/_{16}$.

POLOWANIE NA ZAJĄCA.

Załóżmy, że pies złapał zająca w punkcie D, x metrów od B. Najkrótsza droga do D — to prosta CD — nazwijmy ją y. Zatem $y =$ $= x^2 + 25^2$ skąd $x = 60$. A więc pies złapie zająca tylko wtedy, gdy pobiegnie naprzełaj z C do A. Jasne jest, że pies tego nie zrobi, a przebiegnie krzywą CBA.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

PODATKI, PODATKI...

Ja muszę oddawać 17% moich dochodów urzędowi skarbowemu — powiedział Henryk. — To stosunkowo niewiele — zauważył Zygmunt — mnie zabierają aż 24%, bo zarabiam dwa razy więcej. Dziwię się tobie bardzo — dodał Władysław — ja mam przecież o 100 zł. miesięcznie więcej, a po rekursie płacę tylko 1/5 poborów.

Jakie dochody mieli przyjaciele, jeśli Henryk i Władysław płacili razem 259.40 zł. podatku, a Henryk i Zygmunt 273 zł.?

PRÓBA PAMIĘCI.

Proponujemy Czytelnikom przeczytać poniższe opowiadanie:

„Trzech panów z żonami i jeden wdowiec wyjechali samochodem na wycieczkę. Po godzinie jazdy spotkali zepsute auto z dwoma mężczyznami i dzieckiem. „Nie mieli szczęścia", rzekł jeden z jadących. Około południa przybyli do celu, gdzie zastali kulawego dozorcę z synem. Ponieważ głód dawał im się we znaki, więc natychmiast zabrali się do jedzenia".

A teraz, nie spoglądając na tekst, proponujemy odpowiedzieć, ile osób wymieniono w tej historyjce?

U DOKTORA.

„Doktorze, skarżyła się pewna pani, mój synek absolutnie nic nie chce jeść".

„Jakto — absolutnie nic?" — zdziwił się doktor. — „A ile lat ma pani synek?"

„Teraz jest on dokładnie cztery razy młodszy od swego starszego brata Tadzia. A jeśli za 10 lat doda pan doktor do siebie lata obu chłopców, to otrzyma pan liczbę dwukrotnie większą od sumy lat obu chłopców w tej chwili".

Ponieważ doktor miał wielu innych pacjentów w poczekalni (bo było to za dawnych, dobrych czasów), więc zdenerwowany odesłał matematyczną mamusię do domu. Proponujemy Czytelnikom obliczyć, ile lat ma młodszy syn.

Dokończenie ze str. 6-tej.

ro na budowę. Miljardowe sumy, jakie tu trzeba będzie inwestować, nie dają się nawet obliczyć. Zbliżoną do rzeczywistości miarę zrozumiemy, gdy uświadomimy sobie, iż Warszawa włożyła w ciągu ostatnich dwudziestu lat w swoje budowle i inwestycje zgórą dwa miljardy złotych. W roku 1937 sam tylko kapitał prywatny wybudował nowych kamienic za 150 miljonów złotych. W bieżącym roku suma ta osiągnie 200 miljonów. Zarząd miejski inwestuje obecnie w nowe ulice i instalacje 30 miljonów złotych rocznie. Są to sumy imponujące, a mimo to... w efekcie zewnętrznym niebardzo nawet widoczne. Jakież zatem sumy pochłonie nowe miasto, które dopiero zaczyna się... planować?

Prace na najbliższą przyszłość w owej nowej, południowej Warszawie ześrodkują się przy trzech odrębnych zagadnieniach. Pierwsze — to tereny wystawowe za Saską Kępą, które muszą być gotowe na dwudziestopięciolecie państwa, drugie — nowa dzielnica im. Marszałka Piłsudskiego, która powstanie na dawnych terenach pola wyścigowego i lotniska Mokotowskiego, i wreszcie trzeci piękny plan — wielka dzielnica sportowa wraz ze stadjonem narodowym i torem regatowym, odpowiednimi do urządzania wszelkich imprez sportowych do olimpjad włącznie. Ma ona powstać na t. zw. Siekierkach.

Dzielnica im. Marszałka Piłsudskiego, która opierać się będzie o dwie wielkie arterje — aleję Marszałka i al. Niepodległości, stanowić będzie najpiękniejszą część miasta. Zbudowana z wielkomiejskim rozmachem, zawczasu wyplanowana, stanie się dumą miasta i całej Polski. Aleja Marszałka mierzyć będzie 3 kilometry długości i 250 do 350 metrów szerokości. W cyfrze, określającej szerokość ,mieszczą się: jezdnia o 18 mtr., trasa defilady 27 metrów, pozostałe zaś pasy po obu stronach przeznaczone są na parki i skwery.

W dzielnicy tej zarezerwowano dalej: 110 hektarów na park i nowy Ogród Botaniczny wraz z nowem wielkiem obserwatorjum astronomicznem, 7 ha na nowy gmach uniwersytetu i 30 ha na nowe budynki politechniki. Tu stanie też bibljoteka narodowa, nowy gmach sejmu (n. b. o ile sejm do tego czasu nie będzie... instytucją przestarzałą!) i wspaniała świątynia Opatrzności. Przed nią rozciągać się będzie wielkie forum, przeznaczone na masowe uroczystości i Msze polowe. Poza tymi olbrzymimi obszarami, drugie tyle przenaczono pod zabudowę gmachów prywatnych, pałaców, ambasad i gmachów rządowych, jak ministerstwa itp.

Oto w wielkim skrócie plan Warszawy przyszłości — miasta, z którego kiedyś dumni będą nasi... wnukowie. Może już synowie — my w każdym razie nie.

mgr. Roman Burzyński.

Dokończenie ze str. 24-tej.

wiersze Zosi". Wróciła do Ojczyzny jako pani Dzieduszycka. Mąż dalej hulał, pił i palił, ujeżdżał konie (a pałac był ze stajnią odrazu połączony), mąż dalej kochał inne i wierszy jej nie mówił. Jak chciał pan Słowacki, tylko kwiaty szeptały wiersze w różowe uszka Sophinette.

Zdolny do największych poświęceń z miłości, jak wszyscy awanturnicy, był „szalony dziedzic" niezdolny do miłości na codzień. I tym rysem przypominał wszystkich swoich protoplastów od Księcia Panie Kochanku zacząwszy, a na Emirze Rzewuskim skończywszy. Miłość, jak życie, była dla nich nieustanną awanturą. Porzucali kobiety tylko dlatego, że ich za bardzo kochały. Szukali śmierci w tysiącu przygód. Nie pisali poematów, ale przeżywali je całem ciałem i duszą. Smutek topili w winie. Na polach bitew wyrastali na bohaterów. Umieli umierać. I ta umiejętność śmierci, a pogarda życia ocaliła im honor.

O tak! – to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE
I ESTRADZIE

WARSZAWA. Program inauguracyjny „Cyrulika warszawskiego“ p. t. **„Naokoło Cyrulika“** świadczy, że dyrekcja stara się znaleźć złoty środek między rewją a kabaretem. Wśród wykonawców należy wymienić starych znajomych, jak Lenę Zelichowską, Sempolińskiego, Lawińskiego, Zofję Terné, Skonieczngo, a z pośród nowszych sił: Jadwigę Andrzejewską, Kitajewiczównę, Lebedowiczównę. Ozdobą programu jest zespół baletowy Tacjanek.

KALISZ. Nowy sezon teatralny w Kaliszu rozpoczęła komedja Adama Asnyka p. t.: **„Bracia Lerche“**, wystawiona w związku z uroczystościami ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin świetnego poety. Główne role przypadły pp.: dyr. Marjanowi Lenkowi, Bronice Jędrzejowskiej, Sokołowskiemu, T. Żurowskiej, St. Środce i St. Golczewskiemu.

POZNAŃ. Na inaugurację sezonu w Teatrze Polskim wybrano komedję Wojciecha Bogusławskiego pt.: **„Spazmy modne“** w pomysłowej reżyserji p. Jerzego Szyndlera i oprawie dekoracyjnej p. Zygmunta Szpingiera.

Bardzo dobrze wywiązała się ze swego zadania p. Zofja Barwińska, jako hrabina Modnicka. Milą Dorotką była p. Baronówna. Na wyróżnienie zasłużyła również p. Szyszko-Bohusz (Lukrecja). W zespole męskim trzeba wymienić przedewszystkiem p. Mierzejewskiego, który pięknie śpiewał, ponadto pp. Cz. Kalinowskiego, Jaglarza, Dzwonkowskiego, Zinkiela, Neubelta i Świderskiego.

KRAKÓW. Z bardzo życzliwem przyjęciem spotkała się w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie komedjo-farsa Romana Niewiarowicza pt.: **„Gdzie djabeł nie może...“**, do czego przyczyniła się gra całego zespołu — (reż. p. J. Karbowski).

W roli lekarza ujrzeliśmy p. Zygmunta Modzelewskiego, a jego partnerką była p. Alicja Matusiakówna. Doskonałą postać stworzył p. Kazimierz Szubert, jako Karpik. Resztę zespołu stanowili pp.: Z. Zalewska, W. Kolwas, J. Romowicz, M. Kierzkowa i A. Fuzakowski. Dekoracje projektował p. K. Gajewski.

WYSTĘPY RAMA GOPALA. Po większych miastach Polski odbywa obecnie tournée artystyczne świetny tancerz hinduski, **Ram Gopal.** Występy jego spotykają się wszędzie z bardzo życzliwem i pełnem uznania przyjęciem, albowiem istotnie Ram Gopal reprezentuje wysoką klasę tańca. Takie np. numery, jak „Taniec Pawia“, albo „Kobra“, czy „Inwokacja świątynna“ tchną egzotyzmem i oryginalną formą ekspresji.

NOWE KSIĄŻKI
I PUBLIKACJE

„Wiarus“. Numer poświęcony armji jugosłowiańskiej. Nie wszystkim zapewne wiadomo, że Instytut Nauk. - Oświatowy przy Ministerstwie Spraw Wojskowych wydaje pismo p. t. **„Wiarus“**, będące organem korpusu podoficerów zawodowych Wojska Polskiego. Pismo to, interesujące się zagadnieniami obrony państwa i związanemi z nią sprawami natury wojskowej, nie pomija okazji, by swym czytelnikom dostarczyć wartościowej lektury z zakresu historji czynów oręża polskiego, jak i tych, które były dziełem armij zaprzyjaźnionych z nami krajów. Ostatnio, z okazji urodzin Piotra II, króla Jugosławji, „Wiarus“ wydał specjalny numer, którego celem jest zaznajomienie polskich czytelników z życiem państwa jugosłowiańskiego, historją jego walecznej armji i sylwetkami tych wielkich ludzi, którzy po wojnie światowej prowadzili i prowadzą Jugosławję ku pełnej chwale przyszłości. Ustępy, odnoszące się do Jugosławji, przedzielone są analogicznymi artykułami, które omawiają sprawy państwa polskiego w języku serbochorwackim, z przeznaczeniem dla czytelników jugosłowiańskich. Plastyczny i przejrzysty styl tej wartościowej monografji, trafny wybór tematów poszczególnych artykułów, jak niemniej układ graficzny, oparty na bogatym artystycznym materjale ilustracyjnym, świadczą chlubnie o komitecie redakcyjnym „Wiarusa“, pozostającym pod wytrawnem kierownictwem kpt. Jerzego Ciepielowskiego. Monografja jugosłowiańska „Wiarusa“ zasługuje w pełni na to, by znalazła się w rękach nietylko wojskowych, ale wszystkich kulturalnych czytelników polskich.

J. Leo.

„Floreana“. Georges Simenona. (Rój). Powieść autora „Zbiega“ (przełożonego na język polski) pt. **„Floreana“** jest próbą zobrazowania ucieczki ludzi cywilizowanych na wyspę egzotyczną, zdala od Europy. Opowieść swą osnuł autor na prawdziwem zdarzeniu. Ale ujęcie tego interesującego pomysłu raczej rozczarowuje. Autor potraktował rzecz zdawkowo. Nie mniej jednak powieść jego należy do rzędu „atrakcyjnej“ lektury.

SŁUCHAMY „GWIAZDY POLSKI“.

Już w najbliższych dniach z Doliny Chochołowskiej wyruszy do podniebnego startu pierwszy polski balon stratosferyczny. Jak przypuszczają fachowcy lot o podbój stratosfery trwać będzie około 12 godzin. Radjosłuchaczy zainteresuje zapewne wiadomość, że „Gwiazda Polski“ w ciągu tego czasu pozostawać będzie w stałej łączności radjowej z ziemią.

Z chwilą wzniesienia się balonu lotnicy nasi rozwiną pionową antenę nadawczo-odbiorczą, umocowaną pod spodem gondoli. W miare wznoszenia się balonu zasięg stacji pokładowej będzie stale wzrastał, aby osiągnąć przypuszczalny zasięg około 500 klm w stratosferze.

Radjosłuchacze więc w całej Polsce będą mogli przychwycić rozmowę, jaką będą przeprowadzali nasi dzielni lotnicy i być bezpośrednimi świadkami naszego wielkiego wyczynu sportowo-naukowego.

W tym celu należy z chwilą startu balonu pilnie nadsłuchiwać na fali 23, wzgl. 46 metr. W godzinach porannych lotnicy nasi pracować będą prawdopodobnie raczej na fali krótszej — 23 mtr, aby w godzinach popołudniowych przejść na falę 46 mtr.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 25 września.

12.03 Poranek symfoniczny w wykonaniu Ork. P. R.
16.15 Komedja Aleksandra Fredry, wiecz. XII — „Brytan Bryś“.
17.05 Koncert muzyki operetkowej.
20.00 Koncert I. Paderewskiego z Lozanny.
21.40 Reportaż z Międzypaństwowego Meczu Piłkarskiego Polska—Łotwa.
22.30 Muzyka taneczna w wyk. zesp. Pawła Rynasa.

Poniedziałek, 26 września.

16.00 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Ork. Rozgł. Lwowskiej.
16.45 Samochodem przez Afganistan — feljeton.
17.00 Muzyka taneczna w wyk. zesp. Kazimierza Englarda.
19.30 W amerykańskiem tempie — koncert rozrywkowy.
21.10 „Staropolskie wesele“ — aud. ze Lwowa.
22.00 Recital śpiewaczy Jerzego Czaplickiego.

Wtorek, 27 września.

16.45 „Od Tatr do stratosfery“ — opowiadanie K. Jodko-Narkiewicza.
19.00 Pieśni i arje w wyk. Stanisława Pieczory.
19.30 „Pod greckiem niebem“ — koncert rozrywkowy.
21.10 Pieśni ludowe i wojskowe.
21.55 Polska muzyka kameralna.

Środa, 28 września.

16.00 Sekstet Stefana Rachonia.
16.25 Audycja Konkursowa Polskiego Radja.
19.00 Pieśni polskie w wyk. Wandy Roessler-Stokowskiej.
21.10 Koncert chopinowski w wykonaniu Henryka Sztompki.
22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela (XII aud.).

Czwartek, 29 września.

18.10 Pieśni kompozytorów polskich w wyk. W. Myszkowskiego.
18.30 „Na srebrnem weselu“ — słuchowisko.
19.00 Recital fortepianowy Zdzisława Ładomirskiego.
21.10 Z różnych stron — audycja muzyczna ze Lwowa.
22.00 Londyńska orkiestra symf. pod dyr. A. Coatesa i Włodzimierz Horowitz (fortepian) — koncert z płyt.

Piątek, 30 września.

16.00 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Małej Orkiestry.
19.30 „Groteski i strachy“ — koncert rozrywkowy.
21.10 Kalejdoskop — koncert rozrywkowy z Poznania.
22.00 Koncert symfoniczny w wykonaniu Ork. P. R. pod dyr. kapelmistrza Rozgłośni Budapeszteńskiej.

Sobota, 1 października.

16.00 Koncert Ork. Rozgl. Wileńskiej.
17.00 Kapela ludowa F. Dzierżanowskiego.
18.10 Koncert kameralny z Krakowa.
21.10 Koncert Ork. Rozgl. Lwowskiej.
22.00 „Godzina niespodzianek“.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.